

ANACHORETA TULKU
OTWARCIE

ROZDZIAŁ I

Czerwony

– Lubi pani poezję? – pytam.
– Taaak. – odpowiada kobieta. – A dlaczego?
– Jestem poetą, stąd pytanie. Promuję swój nowy tomik.
Promuję się sam, bo wie pani...
– Rozumiem, takie czasy. O czym pan pisze? – pyta.
– O doświadczeniach życiowych, o miłości. Kocham ludzi, dlatego to robię. – odpowiadam.
Kobieta przelatuje wzrokiem kilka kartek wręczonej przeze mnie małej, siwej książeczki, po czym mówi:
– Dobrze, wezmę od pana ten tomik, a... ile pan sobie za niego życzy?
– Ofiaruje mi pani pięć złotych? – pytam, chcąc się upewnić, że nie sprawię tym samym problemu.
– Oczywiście. – odpowiada i zaczyna szukać w portmonetce „piąta” – Bardzo proszę.
– Dziękuję i pogody ducha życzę. – mówię.
Całuję ciepłą, delikatną dłoń, co wywołuje jej lekki uśmiech, po czym odwracam się i odchodzę. Była to kobieta w wieku około czterdziestki, o brązowych oczach i łagodnym spojrzeniu. Czułem od niej delikatny zapach perfum podobny do tych, których używała moja mama. Naraz przyszło mi na myśl, że

muszę zadzwonić do domu, jak dojechałem i czy wszystko w porządku, udałem się więc w górę sopockiego „Monciaka”, gdzie jak pamiętałem, znajdował się kiedyś telefon na kartę magnetyczną. Był to mój pierwszy dzień w Sopocie, niespełna dwie godziny po przyjeździe, wypadało zatem poinformować najbliższych, tym bardziej, że tak się wcześniej umawialiśmy. Znalazłszy żółty automat, włożyłem kartę i po chwili usłyszałem:

– Halo...

– Cześć mamu. – powiedziałem z radością w głosie.

– A witaj kochanie i jak tam? – spytała.

– Właśnie skończyłem pracę, dwie godzinki spacerowałem. Jestem na Monciaku, mieszkam u starszej pani przy ulicy Łokietka, kilometr od centrum. Mam mały, skromny pokój, idealny dla moich potrzeb, jestem szczęśliwy. – powiedziałem.

– To wspaniale. – odparła.

– Będę kończył, muszę jeszcze zdążyć do papirniczego kupić duży zeszyt, żebym miał na czym pisać. Kocham cię, ucałuj tatę.

– No, ja też cię kocham synku, pa.

– Pa. – odpowiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Poszedłem w kierunku nowego domu, gdzie po drodze, znalazłszy sklep o ciepłobrzmiącej nazwie „Papirus”, kupiłem duży zeszyt w kratkę formatu A4 i czarny cienkopis. Postanowiłem napisać w Sopocie książkę. Nie wiedząc do końca, o czym chciałbym pisać, wybrałem Sopot jako miejsce, w którym „coś” miało się narodzić. Z uwagi na swe położenie i specyficzny mikroklimat, gdzie bezpośredni kontakt z ptakami w najbliższym otoczeniu morza powodował uczucie oderwania od niekończącej się pogoni za iluzją, był to cudowny

zakątek świata. Występowało tu kilka gatunków ptaków, począwszy od zakochanych łabędzi, które na plaży jadły dzieciom z ręki, przez dzikie kaczki, czarne, podobne do brodzieców ptaszki o czerwonych dzióbkach, na rybitwach i mewach skończywszy. Te ostatnie niczym skrzydlate anioły zawisały w powietrzu, tuż nad głową chwytając kawałki rzucanego im chleba. Większość turystów wybierała teraz góry, gdzie szczególnie zimą oferowano im zdecydowanie więcej atrakcji ponad wyludnioną i wietrzną plażę, która w moim przypadku wydawała się wprost bezcenna. Po krótkiej wizycie w domu postanowiłem czym prędzej rozpląnąć się w bezkresie, udałem się więc w kierunku morza, od którego w lini prostej dzieliło mnie jakieś pięćset metrów. Zmierzchało się. Po drodze spotkałem kobietę, z którą wielki, czarny doberman „wyszedł na spacer”, ciągnąc bezlitośnie za sobą, po prawej stronie zasypiała ledwie już żywa, poprzecinana co kawałek ciągnącymi się w nieskończoność rurami łąka. Mijałem park, w którym około metrowej średnicy sosny coraz radośniej oznajmiały tętniące ciało żywiołu, aż pośród milionów niosących mnie, nieco znużonych drobinek piasku, ponad szumiącymi opuszkami drzemącego olbrzyma, wstąpiłem w horyzont. Niebo było ciemne, zasłane chmurami, w oddali niczym iskierki nadziei niezłomnie utrzymujące puls widniały światła oczekujących na redzie statków, a wiatr – pijany pieśniarz rozbrzmiewał wokół, chwiejąc się i kołysząc na wszystkie strony. Poczułem energię Ziemi z jej potęgą i pięknem. Po krótkiej chwili, kilku głębszych oddechach udałem się w kierunku oddalonego o około kilometr molo, którego lampy sprawiały wrażenie wdzierającego się w zatokę, oświetlonego pasa startowego dającego możliwość wzniesienia się w przestworza. Po drodze bawiąc się z falami,

osuwalem podmyty piasek, unikajac jednocześnie ich dotyku, co od dzieciństwa sprawialo mi nie lada przyjemnosc. Woda od zawsze byla mi zrodlem informacji. Na plazy nie bylo niko- go, a ptaki w pewnej odleglosci od brzegu dryfowaly skupione w grupach. Wchodzac na molo, dostrzeglem dwa nowe budyn- ki mieszczace kawiarnie i restauracje, po za tym przez dwa lata, ktore uplynely od mojej ostatniej wizyty, nie zmienilo sie nic. Nadal panowal wszechobecny spokoj przechodzacy w bezcza- sowość i ta sama „bursztynowa” bryza pieszczaca wciaz niena- sycone nozdrza. Idac w kierunku konca, w pewnej chwili zoba- czylem znajoma twarz. Oto w odleglosci kilkudziestu metrów, na ostatniej lawce po prawej stronie siedzial samotnie Mateusz. Na mój widok usmiechnal sie lekko, po czym zamknal oczy i glęboko odetchnal. Usiadlem bez slowa. Zналиśmy się od mniej więcej piętnastu lat, w trakcie których nasze drogi kil- kakrotnie się schodziły; mieszkal w Toruniu na osiedlu moich rodziców. Do Sopotu przyjechał coś ze sobą zrobić, gdyż jak twierdził, czując się szczęśliwy, utracił chęć dalszego istnienia. Byliśmy rówieśnikami. Jako dziecko, nie miał planów co do tego, kim pragnąłby być w przyszłości. Gdy koledzy chcieli zo- stać strażakami, żołnierzami, policjantami, on nie umiał wczuć się w żadną z dostępnych ról. Lubił natomiast gotować. Wszyst- ko zaczęło się od wspólnego robienia ciasta. Gdy mama koń- czyła, Mateusz wraz z bratem wylizywał misę. Zanim jeszcze poszedł do szkoły, nauczyła go korzystać ze swych przepisów kulinarnych. Często zaskakiwał ją niespodziankami w postaci ciastek i babek, które po powrocie znajdowała na stole. Uwiel- biał w ten sposób sprawiać mamie przyjemność. Był dzieckiem empatycznym, pogodnym i ciekawym, nauczył się pisać jesz- cze przed rozpoczęciem swej edukacyjnej przygody.

Nastał końcowy etap socjalizmu, czas jego dzieciństwa i nie- spełnionych marzeń, gdy zawsze pragnął mieć zdalnie stero- wany samochód, a rodziców nie było na to stać. Pragnienie wolności w ludziach zaczynało gwałtownie narastać.

*Tedy ruszym społem naprzeciw ciemieży
z wolnością na ustach, wiedzeni pragnieniem,
na pomór gotowi, gdy honor zwycięży,
zrzucimy swe jarzmo spiętnione cierpieniem...*

Był początek lat osiemdziesiątych. Jego pierwszy pochod z okazji 1-ego maja, będący zarazem jednym z ostatnich po- chodów w ogóle. Wielogodzinne wystawanie w kolejkach po jedzenie, gdy w nagrodę za cierpliwość dostawał od Buby czekoladę. Buba (pochodzi z czasów dzieciństwa, kiedy po raz pierwszy pieszczotliwie tak nazwał matkę), to ponad sto (w stosunku czystości do masy) procent bezgranicznej i pełnej akceptacji miłości. Jest jego aniołem stróżem. Bubę zalicza się do aniołów... hmm... jest jedną z potężniejszych, silnie pozy- tywnie spolaryzowanych istot anielskich, jakie dane mi było napotkać w życiu. Ma lotną duszę i dar przewycięzania pro- blemów wagi najcięższej i jeszcze cięższej. Wywodzi się spod znaku wodnika. Stąd szczególne umiłowanie piękna w sztuce artystycznej i życiowej, czego owocem jest kilka obrazów olejnych, jeden wyszywany pejzaż zdobiący Kazia pokój i całe mnóstwo haftowanych serwetek, serwet i obrusów. Na dodatek wyśmienicie gotuje, o czym Kaziu, ojciec Mateusza, z którym od 34 lat stanowią małżeństwo, wie najlepiej. Któregoś dnia Mati, dostrzegłszy banany w jednym z prywat- nych sklepików na osiedlu, blisko pół roku prosił Bubę, aż

w końcu kupiła dwa za równowartość kilku butelek wódki. Zjadł swojego natychmiast, podczas gdy Waldek, o dwa lata starszy brat Mateusza, zostawił sobie pół na później, powodując tym samym jego wielogodzinne cierpienie. Był dzieckiem trudnym wychowawczo. W wieku czterech lat po raz pierwszy upoił się alkoholem. Ukradkiem sięgnął ze stołu dużego drinka i wypił go duszkiem. W jednej chwili stał się dziwnie odporny i stwierdzając, że nic go nie boli, pozwalał Waldkowi zrzucać sobie na głowę duży karton zabawek. Jako dzieci nie przepadali za sobą z powodu rywalizacji nieświadomie rozbudzonej przez ojca, który faworyzował starszego syna.

Przestało być zabawnie, gdy Mati się przewrócił i zaczął wymiotować. Wtedy zaalarmowany Kaziu, z obawy przed przełamaniem, trzymał go na poduszce nad wanną, czekając aż skończy.

Gdy „rzucano” do sklepów pralki, czy lodówki, trzeba było iść w nocy pod sklep, żeby zająć kolejkę w nadziei na udany zakup. Zmierzłość tych czasów czuć było również na forum domowym, gdzie frustracja przejawiała się w formie niepokoju. Nie wiadomo było, co przyniesie kolejny miesiąc. Czy starczy do pierwszego. Mieli rodzinę na wsi, gdzie często jeździli pomagać w pracach polowych. W zamian dziadkowie – rodzice Kazia – odwdzięczali się, dając im kury, kaczki i inne produkty, które mimo posiadania specjalnych kartek żywnościowych, nie były możliwe do kupienia w sklepie. Od najmłodszych lat kochał wieś do tego stopnia, że w wieku sześciu lat, chcąc uczestniczyć w wielkim wydarzeniu jakim były żniwa, wziął Bubie z portfela 20 złotych i nic nikomu nie mówiąc, uciekł autobusem na oddaloną o dwadzieścia kilometrów wieś. Dopiero po uprzedniej wizycie na komisariacie policji, w wyniku

intensywnych poszukiwań, rodzice znaleźli go bawiącego się z kuzynem w ogrodzie. Jego stryj hodował zwierzęta, więc jak tylko starczało mu sił, pomagał w codziennych pracach. Był to najpiękniejszy okres w jego dzieciństwie. Całe wakacje spędzał, budując tamy na sztucznych rzekach z hydrantu w ogrodzie babci. Bawił się z psami, kotami, biegając za kurami i sprowadzając z pastwiska krowy, z których każda miała imię. Niektóre nawet reagowały na swoje imiona. Była jedna o imieniu „Babcia” maści brązowo-białej ze stępionymi rogami, bardzo mądra jak na krowę. Cechował ją spokój wynikający prawdopodobnie z podeszłego wieku. Mati przytulał się do niej, co wyrażnie akceptowała. Czasem spędzał całe godziny w stajni, siedząc na sianie obok krów, głaszcząc psy i obserwując świnię. Świnie uważał za jedno z najbardziej niedocenianych zwierząt na Ziemi z uwagi na ich nieprzeciętną inteligencję, którą przewyższają psy, dzięki czemu bywają ciekawskie i wesołe. Szkoda mu było świń, a także tych, którzy traktowali je bardziej jak przedmioty niż stanowiących istoty żywe braci mniejszych odbierających bodźce zewnętrzne w sposób zbliżony i z podobnym natężeniem, co my, ludzie. Widywał miejsca, gdziezymane w klatkach świnię nie mogły się nawet obrócić, choć znane są przypadki, kiedy żyjąc radośnie w najbliższym otoczeniu człowieka, odwzajemniają miłość na wiele sposobów. Potrafią nawet skutecznie bronić posesji. Wielu ludzi dziwi się później, że życie im się nie układa i nigdy nie są do końca szczęśliwi, bo jak nie ból zęba, to noga złamana lub zepsuty samochód, skoro głównym efektem niskiej, wytwarzanej przez nich częstotliwości jest ból i cierpienie. Winston Churchill powiedział kiedyś „Lubię świnię. Psy nas nie szanują, koty patrzą na nas z góry, jedynie świnię traktują nas, jak równych sobie.”

Z ubraniami dla dzieci również było ciężko, na szczęście większość ciuchów Mateusz dziedziczył po Waldku. W tych ciemnych czasach ich rodzice często się kłócili, czego nie potrafił zrozumieć. Tato był robotnikiem w dużej, prężnej fabryce chemicznej zatrudniającej tysiące robotników. Pracował w systemie zmiennym, więc czasem chodził na dzień, innym razem pracował w nocy. Miał często możliwość „załatwić coś na lewo”, co można było później sprzedać, zyskując dzięki temu pieniądze. W tamtym czasie wszyscy kombinowali, począwszy od partyjnie poukładanych dyrektorów, na zwykłych robotnikach skończywszy. Taki przykład szedł z góry. Niejednokrotnie przychodził z pracy zdenerwowany, bo coś nie wyszło i plany dotyczące zakupu, na przykład nowego telewizora, trzeba było przełożyć. W jednym z takich przypadków, pragnąc go odrobinę pocieszyć, Mateusz napisał dla niego wierszyk. Tato miał to do siebie, że gdy przychodziła pora, zazwyczaj około dwudziestej, w jednej chwili stawał się zmęczony i szedł spać. Wielokrotnie przesiadując przy stole w kuchni, gdy rodzice ciągnęli jakiś temat, nagle – ciach!.. i go nie było. Śmiali się zawsze, że „nocne lecą”.

Moja mamusia jest młoda,
nie odchodzi od niej nuda.
Nie opłachdzi i nie odcho-
dziła bo mamusia jest
Bogiem miła.
Mamusia nas kocha,
nie tak jak sta maro-
cha! prawdziwym ser-
cem matki tato skła-
damy jej kwiatki!..



maj 85

Moja tatus' jest kochany
wzrosam mu tulipany.


Wzrosam mu jako dąb,
że piękny jest jego sa-
wóć.
Gdy siągnę z Tuzka koc,
momentalnie nastaje
noc. Przykazuje że siągnę
stadem nocną muszkę
i tatus' będzie pędem
do Tuzka.

Był szczęśliwy, widząc uśmiech na twarzy rodziców, czuł się wielki, mogąc coś dla nich zrobić. W tamtych czasach ludzie niewiele się uśmiechali.

ROZDZIAŁ II

Żółty

Rok 1989 przyniósł zmiany. Nastąpiła wolność przez duże „W”. Nadzieja wśród ludzi odżyła i pojawiły się nowe możliwości. Jego rodzice, jak wielu innych, dostrzegli w tym swoją szansę i rozpoczęli własną działalność. Za ulokowane pięć lat wcześniej, pochodzące ze sprzedaży „malucha” pieniądze kupili dwuletni samochód dostawczy marki Tarpan. Było to rodzimej produkcji auto o ładowności do jednej tony. Na początku zajęli się sprzedażą wędlin. Jako że mama pracowała w sklepie z wędlinami, a właściciel zgodził się dawać im towar „na kreskę”, tato brał od niego różnego rodzaju kielbasę i sprzedawał ją ludziom pod sklepem na osiedlu. Po upadku „komuny” powstał tam jeden z wielu wówczas placów handlowych. Interes się rozkręcał. Krótco potem Buba, kończąc pracę w sklepie, jako ekspert od logistyki zaangażowała się w polepszanie rodzinnego dobrobytu.

Waldek od siódmego roku życia trenował pływanie. W tym czasie miał już osiągnięcia na skalę regionu, co motywowało go do coraz większego wysiłku celem osiągnięcia mistrzostwa. Codziennie rano chodził na trening, potem szedł do szkoły, aby po jej zakończeniu ponownie iść na trening. W pewnym momencie doszło do tego, że przepływał po kilka-

naście kilometrów dziennie. Odżywiał się w ściśle określony sposób, co w przyszłości miało go doprowadzić do wielu tytułów, w tym również rekordów Polski w pływaniu szybkim, triathlonie i wyrobienia sobie liczącej się pozycji w Europie. Zatrudniono nawet trenera – byłego mistrza świata – który się nim opiekował. Przychodził czasem do ich domu masować, przy okazji również mamę, tatę i Mateusza. Przed spowodowanym kontuzją (i miłością) zakończeniem kariery, na badaniach wydolności w Warszawskim Instytucie Sportu Waldek, z ośmioma litrami pojemności płuc, osiągnął drugi w historii wynik wynoszący 21,5 milimola. Był niezwykle wytrzymały, a przede wszystkim silny fizycznie, czego Mati doświadczał w regularnych potyczkach, do których między nimi dochodziło. Zmuszało go to do ciągłych ćwiczeń, aby móc bronić po części swego stanowiska, które zazwyczaj, choćby dla przekory było odmienne. Zdarzały się nawet kłótnie o banany będące jednym z głównych składników Waldka diety. Mati czasem mu je wyjadał, gdy na przykład rodzice zapomnieli kupić, a jemu na widok banana coś podpowiadało, że musi go zjeść i koniec. Wówczas, gdy brat wracał zmęczony i głodny po wieczornym treningu, zawsze wybuchał konflikt z fajerkami i różnymi innymi sztuczkami (mniej lub bardziej magicznymi), co kończyło się ingerencją służb ochrony w postaci interweniujących rodziców. Kiedyś mało nie dostał w głowę tasakiem do mięsa, który przeleciał obok i stłukł szybę w drzwiach balkonowych. Kiedy indziej bronił się z pomocą noża kuchennego, licząc, że Waldek się nabierze. Poskutkowało. Za to parę dni później, podczas zabawy na oddalonej trzysta metrów od domu działce, dostał włócznią, która utkwiała dwa centymetry od jego lewego oka. Skończyło się założeniem trzech szwów i kilkudniowym

szlabanem dla Waldka. Nie nudzili się. Byli zmuszeni dzielić ze sobą pokój, przez co wzrastała możliwość oddziaływania na stronę przeciwną.

W czasie gdy „Waldas”, jak go później nazywali koledzy, „młócił wodę”, Mateusz zaczął uczęszczać na taniec do zespołu „Kądziołeczka”, którego spotkania odbywały się w Młodzieżowym Domu Kultury w Toruniu przy ulicy Przedzamcze. Choć podziwiał zapał, a jak rodzice zawsze podkreślali – ambicję brata, jemu w tamtym czasie daleko było do sportu. Wolał tańczyć polki, oberki, kujawiaki i przez pół roku bardzo mu się to podobało, szczególnie że przychodziło tam wiele ładnych dziewcząt, dzięki którym zwykły taniec ludowy nabierał głębszego sensu. Pewnego razu, będąc na wsi, w formie szczeniackiego wybryku zdewastowali z kuzynem opuszczony dworek. W ciągu trzech godzin ciężkiej pracy z pomocą dębowych maczug psując wszystko, począwszy od starych pieców kaflowych, które zawałyły się po jednym uderzeniu dwudziestopięciokilogramowego odważnika, przez okna i stare meble, na dziesiątkach często żrących substancji chemicznych rozchlapywanych na ścianach skończywszy. Niszczyli z takim zapałem, że na suficie salonu pojawiło się biegnące przez całą szerokość pęknięcie, a kurz przez następne pół godziny utrzymywał się w powietrzu. Przed wyjściem podpisali się „Byliśmy tu: Arnold Schwarzenegger i Jean Claude Van Damme”. Dworek od wielu lat stał pusty. Popadał w ruinę, więc wyrzutów sumienia specjalnie nie mieli. Odczuwali raczej satysfakcję z solidnie wykonanego „zadania”. Nie wiadomo skąd, dwa dni później, u jego dziadka pojawił się miejscowy aspirant z wezwaniem na komisariat w sprawie zniszczenia własności jakiegoś sędziego z Warszawy. Po drodze kuzyni ustalili

wersję wydarzeń, dzięki czemu usilne starania dwuosobowej ekipy śledczej zmierzające do udowodnienia winy dzieciom (11 i 14 lat bez obecności rodziców ani psychologa) spełzły na niczym. Żaden się nie przyznał mimo sztuczek w stylu „kuzyn już wszystko wyśpiewał”. Szkody wyniosły równowartość rocznego dochodu Kazia z prowadzonej działalności. Wtedy przyszedł czas na naukę tańca towarzyskiego, kiedy to zapisał się do sekcji w mieszczącym się na osiedlu klubie. Kilka dni wcześniej zobaczył w telewizji teledysk Kaomy „Lambada” i... zakochał się w Robercie – dziewczynie z teledysku. Motyw tanecznego romansu z długowłosą blondynką rozbudzał jego wyobraźnię do tego stopnia, że przez kilka tygodni z ich Kasprzaka (magnetofon kasetowy rodzimej produkcji) słyhać było wyłącznie Lambadę. Istniała nawet instrukcja dotycząca sposobu nauki tańca Lambady. Otóż jak mówiła jego mama, trzeba było „wsadzić sobie ołówek w tyłek i kreślić nim ósemki na ścianie”. Mniej więcej na tym polegała Lambada. Chodząc do szkoły, przez cały czas myślał o Robercie, aż pewnego dnia, będąc w czytelnicy naprzeciw szkoły, do której chodził, znalazł w gazecie jej adres. To było coś. Uczył się już angielskiego, więc czym prędzej napisał długi, miłosny list zawierający wyznanie swej bezgranicznej miłości, po czym wysłał go na adres:

Roberta de Ruvo
Rio de Janeiro...
Brasil

Po kilku miesiącach próżnego oczekiwania zrezygnował z tańca i zaczął chodzić na dyskoteki. W tamtym czasie miało miejsce wydarzenie, które silnie wpłynęło na jego młodą psychikę. Otóż podczas dokonywania zabiegów, których wcześniej nauczył go brat (pierwsza próba skończyła się wizytą w przychodni lekarskiej z powodu naderwania stulejki), mających na celu lepsze poznanie swego ciała, doszło do pierwszej ejakulacji. Było to na tyle głębokie przeżycie, iż spowodowało kilkudniowe obniżenie nastroju, uświadamiając, że to już koniec beztroski, żelatynowych misi i waty cukrowej, pora zakończyć ten etap. Jestem już dorosły – pomyślał – mogę mieć dzieci... Na początku były to dyskoteki dla dzieci i młodzieży organizowane w klubach na osiedlu, gdzie na topie był Dr Alban, Kriss Kross itd. Nauczył się „rapować”, jak nazywano prezentowany przez niego styl tańca. Były to płynne, a zarazem energiczne ruchy ciała, z dużym naciskiem na ruchy nóg, przypominały jakby chodzenie w miejscu w sposób miękkiej, gumowej, z wyrzutami nóg na boki, sprężynkami i elementami moonwalk-u. Coś pomiędzy dzisiejszym break dancem, a hip-hopem. Było ich kilkunastu, którzy kursowali pomiędzy trzema klubami na osiedlu. Pili piwo, oczywiście po cichu, a niektórzy pili wino. Było fajnie. Zaczął również jeździć do rodziny, gdzie w soboty w Gminnym Ośrodku Kultury odbywały się nocne dyskoteki. Miał tam wielu krewnych, więc gdy rodzice nie chcieli go puszczać (miał 12 lat), prosił starszego kuzyna lub młodą ciocię i pod ich kuratelą mógł swobodnie uczestniczyć w czymś, co stanowiło nie lada pokusę w tak młodym wieku. Mógł być dorosły...

Jako najmłodszy uczestnik imprezy, korzystał z przywileju obficie, tańcząc i ciesząc się chwilą. Zawierał wiele ciekawych

znajomości z miejscowymi dziewczętami, jedną z nich zapamiętał szczególnie. Wyszli się przewietrzyć w kierunku pobliskiej szkoły, gdzie obok było boisko, a na jego końcu rosły drzewa, pod którymi stały dwie ławeczki, jakby specjalnie dla nich przygotowane. Wówczas to po raz pierwszy doświadczył smaku kobiecych piersi w pełnym tego słowa znaczeniu. Były jędrne i obfite, że nie mieściły mu się w dłoniach. Przez dwie godziny cały świat objawił mu się w postaci owych boskich krągłości, które z powodu „bezpiecznego” stężenia alkoholu we krwi właścicielki, należały wyłącznie do niego. Mógł więc dokładnie się przyjrzeć, wachać i smakować, ciesząc się darem. Jego przyjaciółka – o dwa lata starsza brunetka o krótkich włosach, delikatnych rysach i francusko brzmiącym imieniu – do końca nie wiedziała, ile ma lat. W tamtym czasie był wysoce na tyle, że między nim a Waldkiem nie było prawie różnicy. Mimo iż do końca nie skorzystał z okazji, czując się jeszcze nie gotowy, miał już świadomość istnienia żeńskiej energii, jakże odmiennej i pięknej, która za chwilę stać się miała natchnieniem jego życia...

Rodzice rozkręcali się. Zrezygnowali z wędlin na rzecz artykułów ogólnospożywczych, przez co znacznie poszerzyli asortyment. Kupując cztery kioski, po dwa na każdym z bazarów, pełną parą ruszyli ku ogrodowi obfitości. Fakt, żyło im się wygodnie od strony materialnej, lecz czy aby na pewno o to tylko chodziło?..

Waldek był już zawodnikiem klasy europejskiej z kilkoma kilogramami medali na koncie. Sport był dla niego i dla rodziców na pierwszym miejscu. Za osiem złotych medali zdobytych podczas jednych mistrzostw Polski otrzymał komplet wypoczynkowy wartości 250 złotych. Dla porównania, mie-

sięcznie z własnej kieszeni wydawał na odżywki 300 złotych. Mając trzynaście lat Mati, chcąc nie chcąc, został na stałe „za-przęgnięty” do pracy w rodzinnym interesie kosztem własnego życia prywatnego. Czuł się jak wielbłąd zmuszany robić coś wbrew sobie, bez sensownego wytłumaczenia, bo cóż za znaczenie mógł mieć fakt, że dostawał jeść?... Jego rówieśnicy, choć zdarzało im się również pomagać rodzicom, w zamian otrzymywali bezcenne „dziękuję” będące nawiązaniem do otwierającego magiczne poziomy „proszę”, co diametralnie zmieniało obraz sytuacji. W nim odradzał się buntownik. Odradzał się po latach uśpienia, kiedy to na wszystkie dostępne sposoby próbował udobruchać „złego boga”, jak go wówczas postrzegał. Po latach puszczania w niepamięć upokorzeń, które na szczęście dotyczyły głównie jego; nadziei na cud, którego nigdy nie dane było mu doświadczyć; po niezliczonych próbach zapomnienia sytuacji sprzed lat, kiedy mając 4 lata, doszło do kłótni między rodzicami... Zamknęli się wówczas w kuchni, a Kaziu zabronił im wchodzić. Mateusz podszedł do drzwi i czekał, gdy nagle przez zamazaną szybę zobaczył gwałtowny ruch, po którym, usłyszawszy jęk jedynej bliskiej mu istoty, otworzył drzwi. Buba stojąc, opierała się o lodówkę, a po twarzy leciała jej krew... Poszło o jakieś jedzenie. Podszedł wtedy do ojca i powiedział:

– Kiedyś cię zabiję!

Został za to dotkliwie pobity, jako dziecko nie mając żadnych możliwości obrony. W tamtym czasie istniało ciche przyzwolenie na stosowanie kar cielesnych. Od tego wydarzenia minęło dużo czasu, lecz lód pod ich stopami zaczynał gwałtownie trzaskać...

W owym czasie jeden z kolegów pokazał mu Wodnik, klub uznawany za najbardziej ekskluzywny w Toruniu. Bywali tam

Arabowie, Jugosłowianie, Rosjanie, złodzieje, prostytutki pod „opieką” i pewna grupa raczej zamożnych ludzi. Wśród odwiedzających wielu było hazardzistami. Na parterze dwupoziomowego lokalu stały automaty do gry. O północy zawsze odbywał się striptease i jakiś program artystyczny, a nad głosami gości puszczano mydlane bańki. Zapachniało wielkim światem. Uświadomił sobie wtedy, że niezbędne będzie pozyskanie funduszy potrzebnych na dogłębną eksplorację tego świata. Postanowił więc, w pewien sposób rekompensując sobie krzywdy, otworzyć „magiczny rachunek” połączony bezpośrednio z kontem rodziców. Zaczął kraść...

Choć na początku były to kwoty nieduże zaspokajające potrzeby małego, szybko rosnącego egoisty, po kilku miesiącach zaczęły gwałtownie wzrastać. Zdał sobie sprawę z potęgi pieniądza, jako narzędzia w drodze do osiągnięcia celu. Przekroczył granicę 180 centymetrów wzrostu, więc od tej strony wyglądał dojrzałe, w międzyczasie „strzeliła” mu czternastka. Ciągle jednak pozostawał prawiczkiem...

Pewnego dnia, idąc z dwoma, o dwa lata starszymi kolegami, z którymi już trochę czasu się znał, gdyż chodzili oni kiedyś z Waldkiem do klasy sportowej, rzucił hasło:

– Idziemy się rozprawiczyć!

Miał przy sobie kilkaset złotych i wiedział, że po drodze, w hotelu Polonia znajduje się agencja towarzyska należąca do jego kolegi. Było popołudnie czternastego lutego, a w biurze agencji przebywała tylko jedna, bardzo sexi wyglądająca szatynka ubrana w krótką, skórzaną mini, kabaretki, o nieprzeciętnie wyeksponowanym biuście i szerokim uśmiechu (zdradzającym delikatne zdziwienie sytuacją).

– W czym mogę pomóc, panowie? – spytała.

- Chcielibyśmy skorzystać z waszych usług. – rzekł Mati.
- A co konkretnie panów interesuje?
- Chcielibyśmy trzy dziewczyny. – odpowiedział.

Zamilkła, po czym zapytała ponownie:

- A na jak długo panów interesuje?
- Na godzinę. – odparł.

Wykonała telefon i po mniej więcej pół godziny zjawiły się dwie kolejne, oczekiwane przez nich panie. Wynajęli jeden duży, trzypokojowy pokój, a dokładnie to one wynajęły, bo najstarszemu z nich brakowało dwa lata do pełnoletności i poszli dokonać tego czynu. Po drodze spoglądali jeden na drugiego, czując silnie narastające napięcie, aż z podniecenia sztywniały im uda. Do końca żaden nie wiedział, jak to zrobić, żeby nie skompromitować się w oczach partnerki i kolegów. Mateusz wybrał panią, która ich przyjmowała, gdyż była najładniejsza z całej trójki kobiet. Miała 23 lata i jak się później okazało, mieszkała około trzystu metrów od niego. Doświadczony przez różne pisma i „filmy szkoleniowe”, próbując wszystkich znanych sobie technik (bez zabezpieczenia), w drodze podwójnego wydarzenia stał się wreszcie mężczyzną...

Jego towarzysze nie mieli tyle szczęścia, obydwaj zakończyli „eliminacje” na etapie manualnym, co z drugiej strony było czymś, na czym można już było się oprzeć. Całe zdarzenie do złudzenia przypominało scenę z filmu „Lody na Patyku”, gdzie każdy z nich namiętnie się całował. Ową miłą, służącą mu pomocą kobietę spotkał po czasie, przyznając się do ówczesnej inicjacji, w co oczywiście ciężko było jej uwierzyć. Spotykali się nawet kilka razy, odnawiając znajomość, gdyż okazała się przyjaciółką jego kolegi, który zresztą po dwóch

tygodniach pracy wyrwał ją z agencji i pomógł odnaleźć drogę w życiu. Do zawodu więcej nie wróciła.

Po pierwszym doświadczeniu jego życie się odmieniło. Tak jak kiedyś nie potrafił (lub nie chciał) znaleźć klucza, tak teraz wszelkie „komnaty” otwierały się same, lub raczej nigdy nie były zamknięte...

Od dziecka doskonale rozumiał kobiety. Będąc na koloniach, z jedną dziewczyną „chodził”, kolejną całował, z jeszcze inną brał ślub, a wieczorami trzeba było wyprowadzać go z ich domków, dokąd i tak następnego dnia wracał. Bywało, że w krótkich okresach czasu flirtował jednocześnie z czterema niewiastami, angażując się we wszystkie cztery związki. Zaczął postrzegać to zjawisko z zupełnie innej strony. Wodnik stał się jego drugim domem. Zawsze gdy rodzice szli spać, on wychodził, wracając najpóźniej do godziny czwartej rano, żeby móc dostać się do domu zanim Kaziu wstanie do pracy. Gdy już się zorientował, że nocami syna nie ma, ten zaczął schodzić oknem po parapecie. Z mieszkania na pierwszym piętrze spuszczał się na palcach rąk i wchodził na daszek znajdujący się około półtora metra w prawo od okna. W ten sam sposób wracał, co było dosyć trudne, gdyż w pewnym momencie trzeba było, wisząc na jednej ręce, drugą otworzyć okno. Na przestrzeni kilku miesięcy, raz zdarzyło mu się spaść w rosnące pod oknem krzaki, dzięki którym nic poważnego mu się nie stało. Był wtedy lekko pijany. Skończył właśnie przygodę z bieganiem i zapisał się na boks do klubu Olimpijczyk w Toruniu. Wszedł również w bliższe układy z Ukraincami, którzy handlując samochodami, pilnowali przeważnie trzech lub czterech dam, z którymi Mateusz stopniowo się zaznajamiał. Były to bardzo pogodne, młode dziewczyny, często studentki,

które mimo niespecjalnie ciekawej pracy, potrafiły zachować dystans i cieszyć się chwilą. Z dwiema z nich, a przez ten czas było ich kilkanaście, miał niewątpliwą przyjemność zaprzyjaźnić się do tego stopnia, że niejednokrotnie opłacał ich czas, organizując zakrapiane szampanem imprezy, kiedy to nie padały żadne propozycje w kierunku otrzymania z ich strony czegokolwiek ponad zabawę. Uwielbiał prostytutki za ich naturalność i bezpruderyjność. Dzięki nim poznał ich kolegów, którzy podczas ich pierwszego spotkania zaczęli wymachiwać bronią, krzycząc, iż „tak się nie robi!”, że „byli godzinę za długo, powinni zadzwonić i coś powiedzieć”. Skończyło się na rozmowie. Była to grupa około siedmiu osiłków, z których jedni wyjeżdżali czasem w interesach, podczas gdy inni zostawali pilnować „koronkowego” biznesu. Był wśród nich pochodzący z Kijowa „rekiet” – człowiek zbierający haracze od wszystkich wschodniojęzycznych na terenie Polski. Jemu to jeden z Matiego kolegów, kilka lat później uratował życie, kiedy to przez przypadek, w krakowskim motelu „Krak” podsłuchiwał rozmowę dwóch typów, najprawdopodobniej płatnych zabójców planujących go zastrzelić. Poznał go wcześniej przy śniadaniu, gdy „rekiet”, nie znając języka polskiego, nie potrafił się porozumieć z kelnerem. Zdażył go uprzedzić o planowanym zabójstwie i ukryć w swoim pokoju zanim tamci wpadli, wyważając drzwi.

Po doświadczeniu z bronią Mateusz kupił dwa pistolety gazowe. Znalazł również sklep, gdzie mimo braku zezwolenia „pestki”, jak mówiło się na naboje kupował bez ograniczeń. Wówczas poznał swą pierwszą prawdziwą miłość, o cztery lata starszą blondynkę o słodkim imieniu Róży – mającej w przyszłości się pojawić. Miała 19 lat (urodzona 1-ego stycz-

nia) i była wspaniale przez naturę obdarzoną dziewczicą, której ciało wprost ociekające seksem, stanowiło nie lada wyzwanie. On natomiast miał lat 14 i spory przebieg w postaci przekroczonej „pięćdziesiątki”. Był to dla niego oczywisty powód do dumy, ponieważ wśród kolegów żaden nie mógł poszczycić się podobnym wynikiem.

W życiu rodziny nic się nie zmieniało, Waldek zawzięcie trenował, rodzice liczyli pieniądze. W tym czasie zdarzyły mu się dwa „potknięcia” podczas wyprowadzania majątku rodziców – za jedno zostało mu „zapłacone”, drugie zaś rozeszło się „po kościach”, gdy pokazał Bubie pistolet, mówiąc, że kilku bandytów chciało mu zrobić krzywdę, bo jednemu z nich odbił dziewczynę. Postanowił więc się bronić. Zdarzenie takie faktycznie miało miejsce chwilę wcześniej, kiedy to Buba uchroniła go od niepotrzebnego stresu, otwierając drzwi z zapytaniem:

– Co panowie chcą od Mateusza? – Mateusz do domu!

I dosłownie wciągnęła stojącego na majtkach do mieszkania. Sytuację wyjaśnił, biorąc dwóch ubranych w marynarki kolegów i dwa pistolety do ośrodka wypoczynkowego pod Toruniem, gdzie przy okazji spędzili kilka dni na zabawie w szerokim towarzystwie. Co do pistoletu w domu, to był on przygotowany na Kazia. W tamtym okresie Matiemu wydawało się, że Buba z jej wielkim instrumentem miłosnym ostrzegła męża, chcąc zapobiec rodzinnej tragedii. Mimo naboii gazowych, 9 mm w wersji „Miami” stanowiło potężną broń. Kaziu, choć w kwestii jego szacunku do syna nic się nie zmieniło – nadal traktował go jak niewolnika – stał się jakoś podejrzanie wyluzowany. Kilka tygodni później doszło do nagłej kontroli policji, kiedy wjeżdżając w ulicę Mostową na toruńskiej sta-

rówce, Matiego taksówkę okrążyło pięć radiowozów (w tym tylko dwa oznakowane) i został zatrzymany w związku z podejrzeniem posiadania broni. Jechali z kuzynem do restauracji, a tu w biały dzień takie coś... Tym razem policja również nic im nie udowodniła, poza tym wytłumaczył, że wie o co chodzi, bo jakiś czas temu kupił imitację broni i chwając się, pokazywał ją dzieciakom, więc pewnie to oni rozpuścili tę plotkę. W końcu policjanci uwierzyli w podaną historię i ich puścili, a kilka dni później pozbył się wszystkiego. Powodem kontroli mógł być fakt, że któregoś dnia, od zaplecza kiosku Buby strzelał w powietrze przy pewnej osobie, co do lojalności której nie był pewien. Poza tym jego serdeczny kolega „walił” z okna swojego mieszkania, bo podobno „pistolet przypadkowo wypalił”. Mati jednak jako powód obstawiałby własny wybryk.

W tym czasie był już zapalonym hazardzistą, co ukradło prawie rok z jego życia. Grywał jak całe rzesze jemu podobnych – przeważnie bardziej zaawansowanych stażem – „żywych trupów”, dla których życie znaczyło tyle, co kilka żetonów wrzuconych w puste, kolorowe pudło. Niektórzy z nich świadomie szli na dno, nie mogąc nic na to poradzić, gdyż brakowało im siły, inni w desperacji odbierali sobie życie. Tu, w Sopocie nieopodal Grand Hotelu jest deptak zwany „Aleją Wisielców”, gdzie wielcy przegrani kasyna z powodu pieniędzy wieszali się na pobliskich drzewach. Z Matim aż takiego dramatu nie było, bo choć regularnie wrzucał w maszyny po kilkaset złotych, traktował to jako intensywną rozrywkę, która specjalnie nie rzutowała na jego życie. Dla porównania pracownik w kiosku rodziców zarabiał trzysta na miesiąc. Zmienił dyscyplinę sportu na kickboxing i zaczął chodzić na siłownię. Cały wolny czas spędzał teraz w towarzystwie

dziewczyny mieszkającej wraz z babcią jakieś 500 metrów od niego. Po dwóch tygodniach od chwili zapoznania powiedzieli rodzicom, że jadą do świątyni Hare Kriszna w Gdańsku, gdzie jej brat był od sześciu lat w procesie samorealizacji duchowej. Miast do świątyni, pojechali do hotelu mieszczącego się przy lotnisku w toruńskim aeroklubie. Mateusz znał ten hotel od czasu swej ucieczki z domu w wieku lat trzynastu, kiedy to z dwoma starszymi kolegami i koleżankami spędził tam trzy doby. Nie oferowano tam jakiegoś specjalnego luksusu, lecz było czysto i przyjemnie, a poza tym panował spokój, ponieważ z trzech stron hotel otaczał las. Zrobili wcześniej zakupy, dzięki czemu, nie musząc przez trzy dni wychodzić z pokoju, w stanie intensywnie narastającego ekstatycznego uniesienia jego ukochana stała się kobietą...

Od tej pory korzystali z młodości kiedy i gdzie tylko nadarzała się ku temu okazja, a te tworzyli sobie sami. Całe dni spędzali albo w jej pokoiku, gdzie na wpół głucha babcia, słuchając radiowej manipulacji, nie myślała nawet, co dzieje się za ścianą, albo w domu samotnie mieszkającej koleżanki, która wspinałomyślnie używając swego lokum, za ich pośrednictwem składała ofiarę na ołtarzu namiętności. Pewnego razu, wczesnym popołudniem „wystawili sztukę” przy pomniku kotwicy na toruńskim bulwarze i tylko jej długi, zwisający płaszcz dbał o zachowanie tajemnicy.

Piętnaste urodziny Mateusz obchodził w Wodniku, rezerwując wcześniej kilka stolików na dolnej sali. Oficjalnie były to osiemnaste urodziny, tylko przyjaciele i kilka osób z obsługi znało prawdę. Funkcjonował tam wspaniale zaopatrzony bar, gdzie serwowano wszelkie dostępne rodzaje alkoholu. Miał około pięciu, może sześciu metrów długości, był pod-

świetlany i zaokrąglony na końcu. W okresie letnim otwierano wyjście na taras, z którego widać było basen. Obok Wodnika istniał hotel o tej samej nazwie i czynny do rana drink bar. Kawalek dalej mieścił się Kosmos, obok Heliosa czołowy pod względem komfortu toruński hotel. Ludzi w Wodniku zawsze było sporo, każda licząca się osoba tam bywała. Mati spotkał wówczas jeżdżącego starym mercedesem taksówkarza, który mieszkał na tym samym osiedlu i od dziewięciu lat uprawiał judo. Któregoś dnia zaproponował, aby ten został jego kierowcą i zrezygnował ze stania na „słupku”. Oferując mu tysiąc złotych miesięcznie plus paliwo, podczas gdy przeciętny taksówkarz zarabiał około sześciuset, zyskiwał krępej budowy zawodnika, na którego w razie potrzeby mógł liczyć. Pasował do jego ówczesnych planów. Jeżdżąc po restauracjach, salonach bilardowych (często grywali w bilard), zaprzyjaźnili się do tego stopnia, że jadał u niego obiady, a przy okazji zaczął zostawiać w jego samochodzie klucze od magazynu rodziców, skąd po cichu wywozili towar. Trwało to kilka miesięcy, aż któregoś dnia Kaziu zorientował się, że zasoby znikają i wynajął człowieka, który miał wszystkiego pilnować. Jakiś czas wcześniej jeden z sąsiadów, mający garaż nieopodal, dostał od Kazia klucze, aby położyć papę na dach. Kazimierz idąc tym tropem, myślał, że to właśnie on, co oczyszczało Matiego z podejrzeń. Jednak pewnego dnia człowiek pilnujący w środku zamknął jednego z trzech typów, którzy właśnie przyjechali. Była godzina osiemnasta, zmęczony po nieprzespanej nocy Mateusz chciał odpocząć, a tu nagle wchodzi policja i zabiera go na komisariat celem złożenia wyjaśnień. Jest podejrzewany o dokonywanie włamań w trybie ciągłym. Człowiek, który pokrywał im dach powiedział, że widział brązowego opla pod-

jeżdżającego pod magazyn. Do tego opla Mati dołożył równowartość dwóch tysięcy złotych, po części w markach, bo mercedes już ledwo jeździł. Rodzice doskonale wiedzieli, do kogo auto należy. Taksówkarz, mimo iż bywał tam bez niczyjej wiedzy i zgody, zrzucił wszystko na niego, mówiąc, że to on mu kazał. Mateusz został zdradzony. Z drugiej jednak strony wcale się nie dziwił, gdyż wielu w tej sytuacji postąpiłoby tak samo, wykorzystując nadarzającą się okazję. Tak więc po dwóch tygodniach spędzonych w policyjnej izbie dziecka, trafił do pogotowia opiekuńczego, aby nie utrudniać postępowania. Porzucił wówczas sport będący dla niego raczej drogą do poprawy samopoczucia i ewentualnego przezwyciężenia tyranii niż sposobem na dowartościowanie. Co prawda chodził czasem na mieszczącą się w piwnicy pogotowia siłownię, lecz głównie z uwagi na ustronność miejsca, gdzie można było, zamknawszy się od środka, znaleźć odrobinę intymności z chętną do tego koleżanką. Obsmarowali go w gazecie, twierdząc, że przez dwa miesiące okradał rodziców na łączną kwotę 36 tysięcy złotych, gdzie tak naprawdę stanowiło to niewielki procent całości. Nagle koledzy przestali go odwiedzać. Czasem tylko przychodził brat i jego dziewczyna, która na widok towarzystwa, w jakim się znalazł, uświadomiła sobie różnicę wieku między nimi. Kiedy Matiemu różnica czterech lat nie przeszkadzała wcale, wszak miał już wcześniej partnerkę o ponad trzydzieści lat starszą, ona pragnęła stabilizacji. Dotarło do niej, że nie jest to związek mający jakiejkolwiek szanse na przyszłość. Po trzech miesiącach pobytu Mati został zwolniony, gdyż rodzice wycofali oskarżenie, jednak między nimi zaczęło się psuć. Ona chodziła teraz własnymi ścieżkami, on sięgał po alkohol. Którejś soboty wraz z trzema kolegami

i skrzynką piwa wybrał się do ośrodka wypoczynkowego nie- daleko Torunia. Jadąc w kierunku jeziora, zauważyli dwie, jak się w pierwszej chwili wydawało przytulone dziewczyny idące skrajem drogi. Kolega zwolnił, a Mateusz, patrząc na twarze, poznał swoją miłość w ramionach długowłosego mężczyzny. Wcześniej mówiła, że jedzie odwiedzić babcię w Jeleniej Górze. Wsiadłszy z samochodu, zrobił kilka kroków w ich kierunku, po czym zawrócił, stwierdzając, że jego ingerencja w to, co nie zależy od niego nie ma sensu. Był to początek końca. Pojechali dalej, popracować nad znajdującą się w bagażniku skrzynką, do domu wrócił kompletnie pijany. Rano o godzinie ósmej Buba budzi go, mówiąc, że ma gości. Patrzy, a tu nad nim błogowłosa piękność przyszła wytłumaczyć, że „to nie tak, jak wyglądało”, „to tylko kolega z dzieciństwa”, że „za wcześniej na czereśnie...” Wybaczył. Dwa miesiące później nie przyszła na jego szesnaste urodziny, dzięki czemu łatwiej było mu to zakończyć. Związek trwał czternaście miesięcy, podczas których zakochał się po uszy. W jego życiu nastąpił teraz zwrot, zapragnął rozwijać się duchowo. Zadzwonił do świątyni na warszawskim Mysiadle i powołując się na znajomość z jej bratem, zapowiedział swój przyjazd. Był dogłębnie znudzony życiem, potrzebował spokoju, chcąc odnaleźć siebie. Wówczas to po raz pierwszy spotkaliśmy się, łącząc świadomość w trakcie medytacji. Dopiero wtedy Mateusz gotów był rozpocząć drogę swego przebudzenia. Dotychczas, jako mimowolnie zwerbowany katolik, nie czuł wewnętrznej potrzeby poszukiwania czegokolwiek, tkwiąc w płataninie dogmatów oddolnie narzuconych przez kościół. Nie czuł tego. Od dziecka wierzył co prawda w istnienie Jezusa, którego obecność niejednokrotnie w chwilach samotności odczuwał. Jednak nigdy nie lubił

zbiorowych przedstawień, podczas których osoby o często wątpliwej moralności doznawały nagle miłosnego przebudzenia wskutek niezwykle „głębokich” wywodów filozoficznych, których prawda kończyła się z chwilą obciążenia wiklinowego koszyczka. Jego ciągnęło do góry.

*Czepione krzyży niczym haków
– skrwawione sumienia biedaków...*

Na kompleks świątynny składały się dwa budynki, w pierwszym – zwykłym domku ze spadzistym dachem mieszkały kobiety, w drugim zaś – kwadratowej piętrówce, gdzie oficjalnie znajdowała się świątynia, mężczyźni. Podział wynikał z potrzeby ograniczenia pokus cielesnych. Domy otaczał kawałek ogrodu o powierzchni około 0,5 ha, gdzie rosły drzewa owocowe. Wchodząc do świątyni, czuć było unoszący się w powietrzu, intensywny zapach kadzideł, sala główna z ołtarzem mieściła się na parterze. Objasniono mu zasady panujące na terenie świątyni, po czym zaopatrzono w korale używane podczas mantry polegającej na ciągłym powtarzaniu krótkich formułek. Przestrzegali czterech zasad: nie jedli mięsa, jaj i ryb, nie uprawiali seksu w celu zaspokajania zmysłów, wyłącznie w małżeństwie w celu prokreacji, nie stosowali używek zakłócających trzeźwe myślenie oraz nie uznawali hazardu. Nie oglądali również telewizji. Spało się na podłodze, na karimatach lub podwójnie złożonych kocach i co ciekawe Mati wysypiał się nie gorzej niż na swoim łóżku. Około dwóch godzin dziennie poświęcali na mantrę. O godzinie siódmej odbywał się program poranny, czyli śpiew połączony z tańcem, podczas którego doznawało się uczucia delikatnej ekstazy dzięki inten-

syfikacji bodźców wynikających z autentyczności wydarzenia. Po tym zawsze było jedzenie, które w przypadku „Krisznów” stanowiło przykład mistrzostwa sztuki kulinarnej, z którego Mateusz szczególnie zapamiętał halawę. Była to słodka i gęsta manna na mleku z bakaliami, na myśl której nie raz burczało mu w brzuchu. W każdą niedzielę przyjeżdżali ludzie z zewnątrz, którzy za symboliczne pięć złotych mogli wziąć udział w składającym się z czterech części programie. Jako pierwsza była filozofia, po niej przychodziła pora na śpiew w pozycji siedzącej przy akompaniamencie instrumentu, gdzie prowadzący po kolei wyśpiewywali krótkie fragmenty tekstu, a cała reszta powtarzała. Potem odbywał się taniec, podczas którego czuć było ogrom energii wytwarzającej się w wyniku tej spontanicznej, niezwykle radosnej zabawy. Na końcu była uczta. W normalne dni wyznawcy jeździli do centrum Warszawy sprzedawać książki o tematyce związanej z ruchem, część z nich natomiast objeżdżała firmy produkcyjne, hurtownie, a czasem nawet prywatnych rolników, zbierając dotacje w postaci artykułów spożywczych na rzecz świątyni. Były to przede wszystkim warzywa, owoce i różnego rodzaju przetwory, z których w każdą środę i sobotę przyrządzano dwa wielkie kotły jedzenia rozdawane później pod Domami Centrum. Akcji zawsze towarzyszyły długie kolejki ustawiające się na ich widok. Przychodzili ludzie w ciężkiej sytuacji materialnej, często bezdomni, dla których był to jedyny ciepły posiłek w tym dniu. Pewnego razu podczas sylwestra 1994/95 spędzonego w świątyni miało miejsce zdarzenie, kiedy to w atmosferze wielkiej radości Mateusz przystąpił do konkursu. Polegał on na jak najszybszym zjedzeniu czterech dań, co miało świadczyć o poziomie czystości duchowej. Dobierali się w pary, gdzie je-

den zakładał przez głowę czarny, foliowy wór, aby wykluczyć możliwość używania rąk, a drugi miał za zadanie go karmić. Po zjedzeniu dużego kawałka ciasta, wypiciu dwóch skoncentrowanych soków owocowych, Mati z kolegą prowadzili. Na słodkich kulkach z mleka w proszku z bakaliami się zapchał, a zabierając się do jedzenia halawy, zaczął zwracać. Żeby było zabawniej, zabrudził całe schody, zbiegając na dół, gdy zwymiotował po raz drugi. Było to jedno z głębszych przeżyć w świątyni, z którą po pół roku regularnych wizyt zerwał kontakt. Było mu głupio, jednak nie z powodu obrzygania świątyni, lecz czegoś znacznie poważniejszego, z powodu czego nie był w stanie tego dalej kontynuować. Chodził wówczas do zasadniczej szkoły handlowej, którą rozpoczął głównie wskutek namowy rodziców, bo jak mu tłumaczono „kiedyś miał to wszystko przejąć”. Nie istniało wtedy technikum handlowe, otwarto je w chwili, gdy zaczynał drugą klasę. Z chwilą nawiązania kontaktu ze świątynią, gdy ogolił głowę na łyso, wezwano go „na dywanik” i oskarżono o próbę manifestacji „czegoś”. Była to szkoła, delikatnie mówiąc, nie dla niego i żałował, że nie poszedł w jakimkolwiek innym kierunku. Któregoś dnia, podczas lekcji poszedł do ubikacji, gdzie po załatwieniu potrzeby, złamał zakaz nielegalnego seksu, w jednej chwili tracąc kontrolę nad własnym ciałem. Ogromny wpływ na to zdarzenie miało wcześniej rozpoczęte, bujne życie seksualne. Głupio mu było przed samym sobą i stwierdził, że do świątyni nie ma po co wracać. Był to jeden z tych przypadków, gdy bzdurne i nikomu niepotrzebne poczucie winy wpłynęło na podjęcie jakże istotnej życiowo decyzji. Owo poczucie winy natychmiast uzyskało wsparcie ze strony kolejnego zakłócenia prawidłowego toku myślenia, jakim była wymówka,

że „i tak był za młody, żeby tam zostać”. Jednym z warunków bowiem było ukończenie osiemnastu lat. Po tej przygodzie pozostało mu bezcenne doświadczenie ukazujące bogactwo wynikające z poszukiwania innych dróg. Kilka miesięcy później w końcu pożegnał się ze szkołą. Chcieli się go pozbyć już w pierwszej klasie, kiedy trafił do pogotowia, a jego obecność na zajęciach oscylowała w granicach 50 procent. Postawiono mu wtedy warunek, że jeszcze jedna godzina nieusprawiedliwionej nieobecności i wylatuje. Znalazł więc prywatną przychodnię, gdzie za „parę groszy” wystawiano (nawet wsteczne) L4, miał dzięki temu dużo wolnego czasu. Nie mogąc nic na to poradzić, postawiono mu kolejny warunek, że za następną uwagę wylatuje. Dotych czas dostawał ich tyle, że jako jedynemu w klasie doklejało mu stronę, bo nie było już gdzie ich wpisywać. Jak można się domyśleć, już następnego dnia dostał uwagę, a dokładnie mówiąc trzy. Przy normalnym stanie rzeczy wyleciałby z hukiem, on jednak, jako że na co dzień dojeżdżał do szkoły w ramach przepustek z pogotowia opiekuńczego i jego sytuacja była powszechnie znana, udał się do szkolnego pedagoga. Pani pedagog, będąc wspaiałym człowiekiem i mając w ręku instrumenty pozwalające na pomoc w takich sytuacjach, skierowała go na badania, dzięki czemu dostał dodatkowo miesiąc urlopu zdrowotnego. Psycholog stwierdził 130 IQ, nadpobudliwość psychoruchową połączoną z deficytem uwagi oraz nadwrażliwością i przepisał mu jakieś niezbyt silne „wytlumiacze”, po spróbowaniu których, czując się oszołomiony, splukał je w ubikacji. W tamtych czasach w Polsce, gdyby zapytać lekarzy, żaden nie miałby pojęcia na temat problematyki wynikającej z fenomenu DZIECI INDYGO, nie było więc o czym rozmawiać. W tysiącach Matiemu

podobnych przypadków mylnie rozpoznawano ADHD, wyniszczając młodych, wyznaczających nowy kierunek rozwoju świata ludzi poprzez stosowanie drętwych, farmakologicznych środków, między innymi Ritalinu. Dopiero od niedawna system nauczania powoli dostosowuje się do potrzeb DZIECI INDYGO. Szkoła, do której chodził, była mu pod każdym względem ciężarem. W jego przypadku nie istniały tam możliwości rozwoju, gdzie jako zdolny uczeń czuł się spowalniany. W dodatku wbijano im do głów trącający zacofaniem język rosyjski, mimo iż przez kilka wcześniejszych lat Mati uczył się niemieckiego i angielskiego, który to angielski bardzo lubił. Szkoła podstawowa, do której uczęszczał wcześniej była placówką o najwyższym poziomie w Toruniu, gdzie nigdy nie miał problemów z nauką. I choć nie przepadał za szkołą (nie znosił być szkolony!), uważając ją za całkowicie zbędną, z łatwością przyswajał wiedzę, szczególnie z przedmiotów humanistycznych. Tu było inaczej. Ostatecznie, na koniec drugiej klasy pożegnał się z „handlówką” ku wielkiej ucieśze pani od rosyjskiego, za którą, jako osobą głęboko osadzoną w zamierzchłych realiach nie przepadał.

Wodnik został zamknięty, a Mateusz zaczął chodzić do Starego Browaru, gdzie odbywały się imprezy z muzyką trance. Był to duży budynek, z drugiej strony którego znajdowała się pizzeria, gdzie serwowali świetną pizzę wegetariańską. Wegetarianizm był jedyną z zasad, której w dalszym ciągu przestrzegał, wszystko inne poszło w niepamięć. Pewnego razu kolega poczęstował go „kwasem”, jak potocznie nazywano LSD, była to ćwierć kartonika, po zażyciu której cztery godziny zwiślał z baru na dole, nie mogąc przestać się śmiać. Później pojechali do czyjegoś mieszkania, gdzie przez następne kilka godzin,

leżąc na plecach, wył ze śmiechu. Było to o tyle ciekawe, że poszedłszy do ubikacji, śmiał się nawet ze spuszczonej przez siebie wody, którą to czynność powtarzał wielokrotnie. Była to jego pierwsza i zarazem najciekawsza przygoda z tą używką. Marihuanę palił już w wieku lat trzynastu. Chodził wówczas z kolegami do klubu Baryłeczka na osiedlu grać w bilard, gdzie przy okazji popalali skręty. Wydawało się, że jest to lepsze od innych używek, bo choć możliwe było przedawkowanie, w czasie którego człowiek czuł się, jakby za chwilę miał umrzeć, nie było po tym kaca, co szybko posłużyło im za wymówkę. Ogólnie ludzie nie wiedzieli, co to właściwie jest, nawet policja nie miała pojęcia. Siadając przy stoliku po kilka osób, skręcali się ze śmiechu. Nie używali nawet tak popularnych w późniejszym czasie bibulek, wysypując zawartość papierosa, po czym wraz z rozdrobnionym materiałem nabijali ją z powrotem. Tak zrobiony skręt nie rzucał się w oczy.

Po LSD przyszła kolej na „spida”, czyli rodzimej produkcji amfetaminę, której pierwszy raz spróbował na jednej z imprez w Starym Browarze, kiedy to jeden z kolegów dosypał mu pięćdziesiąt miligramów do napoju. Tańcząc bez przerwy przez dwanaście godzin, jeszcze następnego dnia miał problem z usiedzeniem w miejscu. Amfetamina miała to do siebie, że po kilkunastu godzinach „turbo doładowania” następowało „zejście”, czyli stan skrajnego wycieńczenia organizmu. Jako środek pobudzający „amfa” powoduje złudzenie zwiększania możliwości fizycznych wynikające z oddziaływania na ośrodkowy układ nerwowy. Stymuluje mózg, wywołując uczucie euforii, które na późniejszym etapie zanika. Po kilkukrotnym użyciu zaczęły się pojawiać huśtawki nastrojów i niekontrolowane wybuchy agresji. Pewnego dnia, rozładowując z Kaziem

towar do jednego z kiosków, zapomniał czegoś przynieść, a Kaziu w porywie złości go uderzył. Odpowiedź padła natychmiast i złamał nos ojcu, który chcąc ukryć podeszłe krwawy oczy, przez kilka dni chodził w okularach przeciwsłonecznych.

Waldek się zakochał i po kilku miesiącach znajomości przeprowadził do swej, jak się okazało późniejszej żony. Niedługo potem na basenie, podczas wykonywania nawrotu ktoś niechcący kopnął go w nos, powodując w ten sposób obrażenia zmuszające go do wycofania się z wyczynowego uprawiania sportu. Na co dzień pracował teraz w rodzinnym interesie, gdzie od chwili powrotu Mateusza z pogotowia każdy z członków rodziny otrzymywał jedną czwartą dochodu, tyle tylko że Matiemu odciągano co miesiąc ratę z tytułu tych 36 tysięcy i do ręki dostawał zaledwie „kieszonkowe”. Po ostatnim drobnym epizodzie, kiedy to Kaziu zauważył, że syn po raz kolejny „wali go w rogi”, Mateusz przestał okradać rodziców. Zbliżały się jego siedemnaste urodziny, był więc wystarczająco dojrzały, aby zrozumieć, że rodziców się nie okrada i z tym skończyć. Zapraagnął mieć psa. Jako dziecko, czując szczególną więź ze zwierzętami, przyprowadził kiedyś do domu rudą kundelkę, którą znalazł biegającą po ulicy. Po kilku tygodniach Kaziu wywiózł ją na wieś i tam zostawił. Chodził więc teraz na rynek oglądać psiaki, aż pewnego dnia znalazł kilkutygodniowego boksera niemieckiego maści pręgowanej, za którego właściciel – kobieta z pobliskiego Inowrocławia życzyła sobie tylko dwieście złotych. Pobiegł po pieniądze i czym prędzej wrócił, żeby zabrać przyjaciela do domu. Dał mu na imię Paco, jak nazywał się jego pochodzący z Poznania tato i w mig się pokochali. Spali razem, chodzili razem,

jedli razem, po kilku tygodniach Paco umiał już dawać głos, łapę, siadać, bronić „karnych”, a w końcu nauczył się też robić fikołki. Jego brat dwa tygodnie później kupił rottweilera, słowem: rodzina się powiększała. Spędzali teraz dużo czasu razem, bawiąc się, ucząc, co sprawiało wszystkim dużo radości. Ich „dzieciaki” zżyły się jak bracia, dzięki czemu oni również się zbliżyli. I choć jak to wśród psów bywa, zdarzały się między nimi różnice poglądów (na przykład w kwestii dostępu do miski), służyło to obopólnej korzyści, obrazując nie tak dawne relacje braci, kiedy to przyczynę stanowił czasem ewidentny brak przyczyny. W wieku jednego roku Paco był w stanie pokonać płot wysokości dwóch metrów, do czego przyczyniła się specjalna, stosowana przez nich dieta polegająca na podawaniu im dużych ilości wołowiny. Kupili jej kiedyś pięć kilo i rottweiler, który był w stanie pochłonąć dwa razy tyle, co Paco, zjadł około trzech i pół kilograma, po czym położył się na bok, usiłując to strawić. Przypominał krowę rozdętą „po liściach”.

Przyszedł rok 1996, a do Mateusza odezwała się koleżanka mieszkająca na stałe we Francji, z którą łączył go kiedyś przełotny romans. Zadzwoniła, że przyjeżdża na początku wakacji i mogliby spędzić trochę czasu, umówili się więc, że pojedą jej autem na wakacje. Była o trzy lata starsza, pracowała jako pielęgniarka, opiekując się osobami w podeszłym wieku. Jej mama przed laty, zanim jeszcze wyjechali, pracowała z Bubą. Była wysoką, szczerze wyposażoną przez naturę blondynką, z którą poznawszy się w Baryłeczce w wieku lat czternastu, spędził kilka upojnych chwil w swoim pokoiku. Waldek dziwnym zbiegiem okoliczności spał tej nocy w pokoju rodziców, co w całej historii zdarzyło się kilkukrotnie. Przyszli przed

północą, około czwartej ją odprowadził i się rozstali. Od tego czasu minęły trzy lata. Spotkali się ponownie w dzień jej przyjazdu do Torunia. Z uwagi na planowane wakacje z pieskami, przywiozła z sobą przyjaciela – młodego sznaucera średniego. Ucieszyło ich, gdy te natychmiast się zaakceptowały. Wyruszyli dwa dni później, kierując się w stronę Mikołajek. Dotarłszy na miejsce, rozbili namiot niedaleko biegnącego przez środek miasta kanału, żeby w upalne dni psiaki miały dostęp do wody. W ciągu dnia zwiedzali okolice, kąpiąc się w słońcu, wieczorami odwiedzali kluby, zostawiając psy z zabranym wcześniej „na stopa” kolegą, który śpiąc pod gołym niebem, podróżował po kraju. Noce należały do nich. Podczas jednej z upojnych chwil Mateusz dowiedział się, że wskutek ich przygody w pokoiku byłby dzisiaj tatą, gdyby nie fakt, że niedoszła mama zdążyła ukończyć osiemnaście lat i poddała się aborcji w prywatnej klinice pod Lionem. Czasem ciężko pewne rzeczy objąć rozumem, choć z drugiej strony, jako czternastoletnie dziecko mógł sprawiać wrażenie, że nie nadaje się na ojca. Tak czy inaczej nic z tego nie wyszło. Po tygodniu odwiedzili Łebę, gdzie ktoś „życzliwy” pociął im namiot prawdopodobnie z powodu francuskich tablic rejestracyjnych samochodu, więc po kilku dniach wrócili do domu. Spotkali się jeszcze dwa lata później, kiedy Mati został do niej zaproszony. Spakował walizkę i natychmiast wyruszył w podróż. Odnalazłszy podany adres, zapukał, drzwi się otwały i usłyszał:

– Mateusz?..

Była zdziwiona, myślała, że nie przyjedzie.

– Cześć. – powiedział.

Zaprosiła go do środka, po czym przedstawiając w języku francuskim mężczyźnie siedzącemu na sofie, powiedziała:

– Poznajcie się, to jest Malik.

– Mateusz – odrzekł, podając dłoń mężczyźnie wyglądającemu na Araba.

Facet okazał się być Turkiem, bardzo zresztą sympatycznym, od ponad roku mieszkali ze sobą. Miał około 170 cm wzrostu, był o kilka centymetrów od niej niższy. Zajmował się rozwożeniem przesyłek własnym, dostawczym mercedesem, dzięki czemu dużo zarabiał. Był z niego równy gość – przez kilka spędzonych u nich dni dbał, aby Mati się nie nudził. Grali więc w różnego rodzaju gry, pili piwo, słuchając muzyki i gadali po angielsku. W weekend Malik zaprosił ich do wielkiej, kilkupoziomowej dyskoteki, gdzie było pełno Turków, z którymi najwidoczniej się znał, bo w trakcie zabawy wybiegł na zewnątrz pomóc im w jakiejś bijatyce. Było to zresztą charakterystyczne dla tego narodu, że zawsze trzymali się razem. Matiego przyjaciółka, która przedstawiła go, jako bliskiego kolegę z dzieciństwa, nie była już tą samą dziewczyną którą znał wcześniej. I choć regularnie zdradzała z nim swojego faceta, gdy tamten wychodził do pracy, przestało mu się to podobać. Po kilku spędzonych tam dniach wyjechał, kierując się w stronę Niemiec. W Getyndze zamierzał odwiedzić znajomego Buby – poruszającego się na wózku, wesołego inwalidę, którym Buba opiekowała się przez pewien czas. Gościł u niego trzy dni, po czym wrócił do domu. Wakacje dobiegały końca. Sytuacja pomiędzy nim a Kaziem była dość nietypowa, gdyż role się odwróciły i tym razem to Kaziu znalazł się w odwrocie. Od pewnego czasu Mateusz zaczął odczuwać głęboką awersję do mężczyzn po czterdziestce o cechach charakteru zbliżonych do ojca. Któregoś dnia przyszedł do domu, patrzy, a tu nie ma Paco. Czując, że coś jest nie tak, coś wyraźnie wisi w powietrzu, zapytał:

– Gdzie jest Paco?

Cisza...

Zapytał więc ponownie:

– Gdzie jest Paco?!

– Nie ma i nie będzie! – odpowiedział Kaziu podniesionym głosem.

– Jak go do dziewiątej nie będzie, to ci łeb utnę! – powiedział, prawie krzycząc, po czym wyszedł z mieszkania.

Była piątka, udał się do przyjaciela w kierunku trzeciej, nowej części swego osiedla. Po kilku godzinach pogawędki wracał do domu odprężony. Dochodząc do klatki, u szczytu bloku zauważył na ławeczce Bubę. Paliła papierosa. Zaproponowała spacer, poszli więc w kierunku działki. Poprosiła, aby się uspokoił, to mu coś powie. Dowiedział się, że Waldek znalazł Paco pod balkonem z zawiązanym na szyi kawałkiem przegryzionego przedłużacza i nic mu nie jest. Okazało się, że popsuł pilota wartości 250 złotych, a nie była to pierwsza tego typu szkoda, tyle że wcześniej niszczył żaluzje i kanapy. Nie lubił zostawać sam. Gdy to usłyszał, w jednej chwili wyobraził sobie przyjaciela duszącego się z powodu jakiegoś głupiego pilota, za którego przecież gotów był zapłacić. Ruszył biegiem w kierunku bazaru, gdzie o tej porze myślał znaleźć Kazia i załatwić tę sprawę. Buba, zobaczywszy reakcję syna, wybiegła za nim na aleję, krzycząc:

– Mateusz!.. nie rób tego!

Nie reagował.

Krzyknęła więc ponownie:

– Proszę cię, synku!..

Słyszając te słowa w błagalnym tonie Buby, zatrzymał się. Usiedli obok siebie, a on dał słowo, że po powrocie do domu nie

poruszy tego tematu. Ochłonął. Wracając spacerkiem, analizowali sytuację. Doszli do wniosku, że Kaziu nie chciał Paco powiesić, jak mu się na początku wydawało, a jedynie w wyraźny sposób dać do zrozumienia, że ma dość i nie radzi sobie ze stresem. A że akurat coś takiego się wydarzyło, posłużył się Paco, aby w jakiś sposób nadać bieg wydarzeniom. Dotychczas miała miejsce sytuacja bardzo dla Kazia niekorzystna, bo choć nie było między nimi otwartego konfliktu – mimo doznanych krzywd Mateusz nie czuł się stworzony do roli sadysty znęcającego się nad słabszym już wówczas ojcem – Kazimierz zaczął być przez niego traktowany, jako osoba mniej niż nieistotna, której zdania nie zamierzał słuchać, nie mówiąc już o stosowaniu się doń. Jedynym wyjątkiem była wspólna praca, tu jednak syn doskonale wiedział, co powinien robić, dzięki czemu, uniemożliwiając zarządzanie, ograniczył do minimum strefy ojca wpływów. Tak oto Kaziu z admirała stał się zastępcą dowódcy kompanii. Mati nie chciał go krzywdzić, miał na to zbyt wrażliwą naturę, pragnął jedynie oddziaływać na zasadzie lustra, którym jako ludzie dla siebie jesteśmy, bombardując jego rozdęte, chropowate ego.

Będąc dzieckiem, Kaziu nie doświadczył specjalnie miłości. Przyszedł na świat pod koniec 1950 roku, jako najstarszy z sześciorga rodzeństwa, kilka lat po zakończeniu wojny. Były to czasy biedne, gdy spod jednej okupacji wciśnięci zostaliśmy w drugą, nie mniej tragiczną w skutkach. Jako młody chłopiec kochał zwierzęta, potrafił całymi dniami biegać z psami po polach, goniąc sarny i zające, odwiedzając stare, opuszczone domy. Hodował również gołębie. Posiadał talent manualny, tworząc rzeczy nie tyle artystyczne, co praktyczne, dzięki temu w przyszłości miał zostać ślusarzem. Jego ojciec, z zawodu

murarz po wojnie dobrze zarabiał, kupili więc gospodarstwo rolne i przenieśli się do sąsiedniej wioski. Nastaly pracowite czasy, kiedy to z kilkuhektarowego gospodarstwa trzeba było wyżywić rodzinę, dbając o jego rozwój z myślą o przyszłości, a na świat przychodziły kolejne dzieci. Polska potrzebowała się odrodzić. Cały swój wolny czas „Kaziutek”, jak (do dziś zresztą) nazywała go mama, zmuszony był poświęcać współtworzeniu jak najlepszych warunków bytowych swej rodziny. Wówczas zaczęła powstawać przepaść, która z roku na rok pogłębiała się, oddalając go od rodzinnego domu. Mając dość ciągłej pracy, uciekał do wuja, mieszkającego w sąsiedniej wsi brata mamy, gdzie czuł się wolny. Wuj, jak to zwykle z wujami bywa, traktował go z sercem, nie stosując nakazów i żądań, czego na co dzień doświadczał w domu. Szanował jego suwerenność, dając wolną rękę, dzięki czemu Kazik lubił u niego przebywać. Wyznał mu kiedyś, że chciałby mieć takiego ojca. Kilka lat później chłopak poznał swą przyszłą żonę i razem osiedlili się w Toruniu. Do pewnego momentu drogi życiowe ojca i syna były podobne.

Samochód dostawczy stał na parkingu, wiedzieli więc, że Kaziu jest w domu. Wchodząc do klatki, Mateusz ruszył przodem, chcąc otworzyć drzwi. Wkłada klucz, a tu nagle drzwi się otwierają i widzi przed sobą ojca z widłami w ręku próbującego go ugodzić. Prawdopodobnie przywiózł je wcześniej z działki, obawiając się zemsty, chodziło w końcu o przyjaciela. Mati zdążył zeskoczyć na dół, unikając zranienia, Buba zaniemówiła. Stojąc na półpiętrze, pełen emocji wykrzyknął:

– Już nie żyjesz!

– Chyba ty nie będziesz żył. – odpowiedział drżącym głosem Kaziu i schował się do środka.

Zszedł na dół, usiadł na ławce i zaczął się zastanawiać, co się tak naprawdę wydarzyło. Dopiero do niego dotarło, jaki popełnił błąd, bo zamiast puścić Bubę przodem, aby wyjaśniła sytuację... Z drugiej jednak strony, gdy Kaziu z widłami podchodził z pozycji siły, wyglądało by to na próbę układania się, że w ten sposób osiągnął swój cel i wolno mu robić wszystko. Wolał raczej zginąć, niż ponownie dać się zapędzić w kozi róg. Patrząc na to ze strony Kazia, ten zwyczajnie bał się o życie, niejeden w obronie postąpiłby tak samo. Sytuacja była trudna. W tym momencie przyjechała policja i wśród dwóch funkcjonariuszy z jednostki prewencji Mateusz dostrzegł znajomego, którego brat chodził z Waldkiem do klasy. Zorientowali się w sytuacji i widząc wzajemną niechęć, poradzili, aby się dla wspólnego dobra wyprowadził. Spakował więc rzeczy i z jedną torbą w ręku opuścił dom.

ROZDZIAŁ III

Zielony

Buba załatwiła mu opłacony na trzy miesiące z góry pokój u swej koleżanki, która będąc winna kilkaset złotych, w zamian przyjęła go pod dach. Mieszkał teraz na końcu trzeciej części osiedla, około dwóch kilometrów od Buby. Był piątek 2 września, miał przy sobie sto siedemdziesiąt złotych i trzymiesięczny spokój z mieszkaniem. W sobotę poszedł do przyjaciela, gdzie spotkał poznanego wcześniej Algierczyka, który handlował dywanami. Spalili trochę „królowej roślin”, po czym, wieczorem odwiedzili mieszczący się nieopodal klub Akwarium. W przyjemnej atmosferze, jako że przychodziło tam zawsze dużo atrakcyjnych dziewcząt, wydał wszystkie pieniądze. Okazało się, iż ów Algierczyk wynajmuje pokój w tym samym bloku, do którego i on się wprowadził, spotkali się więc w niedzielę i Mati opowiedział mu o swojej sytuacji. Ten bez zastanowienia zaproponował współpracę. Na samym początku ich znajomości, kilka miesięcy wcześniej, pojechali wraz z Mateuszem przyjacielem do Ciechocinka z dywanami. Miała tam miejsce zabawna sytuacja, gdy pukając do pewnych drzwi w bloku, zostali obrzuceni słowami powszechnie uznawanymi za obelżywe w sposób świadczący o niewątpliwym

niezrównoważeniu psychicznym mieszkającej tam kobiety. Wróciwszy do samochodu, usłyszeli:

– Ktoś chciał dywan? – zapytał Algierczyk.

– Oczywiście, pani na drugim piętrze bardzo chciała dywan. – odpowiedzieli zdecydowanie.

Ich kolega Arab chwycił więc dwa dywany pod ręce i czym prędzej „wali” pod wskazany adres. Był on człowiekiem szczupłym i energicznym, wywodził się z bogatej rodziny, tato był wysokim urzędnikiem miejskim w stolicy Algierii. Jako osoba wykształcona o wysokiej kulturze osobistej, posiadał spory dystans do własnej osoby. Minęło kilka chwil, a on wraca, odkłada dywany do bagażnika, po czym, wsiadając, mówi:

– Niewiele brakowało...

Przez długi czas mieli z tego ubaw.

Zaczęli więc sprzedawać, jeżdżąc przeważnie po wsiach i małych miasteczkach, oferując dywany w trzech rozmiarach, różnych kolorach i wzorach, od klasycznych do geometrycznych. Na początku sprawdzał Matiego chęci i umiejętności, płacąc po kilkadziesiąt złotych dziennie, po kilku dniach przeszli do rozliczania się, jako wspólnicy metodą fifty - fifty. Choć cały kapitał ich spółki należał do niego, Mateusz wnosił do interesu świeżość i determinację, a przede wszystkim spore, połączone z darem przekonywania doświadczenie nabyte w czasie kilku minionych lat. Wówczas to, pracując z rodzicami, prowadził od czasu do czasu własny interes, sprzedając okazjonalnie kupowane artykuły spożywcze, których kończący się termin przydatności do spożycia powodował kilkudziesięcioprocentowe obniżki. Przez pewien czas handlował również koszulkami produkcji chińskiej, które w początkowej fazie, wraz ze współnikiem kupowali w mieszczącym się w Tuszynie pod

Łodzią „zagłębiu tekstylnym”, później, już jako samodzielny podmiot, u handlujących na toruńskim bazarze Wietnamczyków, z których jeden prowadził dużą hurtownię. W ciągu pięciu godzin był w stanie samodzielnie sprzedać około trzystu koszulek, gdzie marża na jednej wynosiła 1,6 złotego, zarabiając w ten sposób pieniądze zbliżone kwotą do miesięcznego wynagrodzenia. Oprócz tego przez dwa lata odbywał praktykę u rodziców, nawiązując kontakty z tysiącami klientów. Po pewnym czasie on również wprowadził do dywanowego interesu pewną ilość pieniędzy, pragnąc zachować równowagę finansową, choć były to kwoty niewielkie. Dla porównania jeden dywan kosztował od 100 do 200 złotych, a oni brali ich maksymalnie dziewięć. W kwestii planowania wyjazdów i opracowywania strategii byli zgodni. Zdarzały się dni, kiedy sprzedawali wszystko i jeszcze przed godziną siedemnastą udawało im się zrobić zakupy na dzień następny, co zaoszczędzało około dwóch godzin, pozwalając dłużej pospać. Zazwyczaj palili wtedy spore ilości konopi, czasami nawet w trakcie pracy zdarzało im się zrobić przerwę na skręta. Zmieniał się wówczas rodzaj kontaktu z potencjalnymi odbiorcami, bywało, że mieli ubaw sami z siebie, dając upust rozbudzonej w ten sposób wyobraźni. Kiedyś przedstawili go, jako „Makumbę z Afryki”, żeby po chwili zwijać się ze śmiechu. Innym razem twierdzili, że są to jedwabne dywany, w dodatku latające. Niektórzy nadążali za ich dowcipem, inni brali siekiery i ruszali w pogoń. Przeważnie jednak dogadywali się z ludźmi. Dywany oczywiście nawet „nie leżały” obok jedwabiu, był to masowo produkowany belgijski produkt w stu procentach poliestrowy. Przy częstym zwijaniu w kostkę na zgięciach wychodziły włókna, które trzeba było później doklejać „na gorąco”. W tym

czasie Mati zaczął masowo zwozić do domu kury, kaczki i ja-ja, proponowano im nawet tony ziemniaków i świnie w rozliczeniu za towar. Dywany sprzedawali bez wcześniejszego ustalania ceny, w zależności od zamożności gospodarza, choć przeważnie były to kwoty stanowiące trzykrotność ceny zakupu, z czego zawsze można było coś uszczknąć. W pewnym domu, gdzie mieszkały dwie rodziny udało im się sprzedać cztery sztuki. Wiadomo że ceny nie były wówczas najwyższe, lecz za chwilę kupowali nowe, a koszty po sprzedaży jednego tylko dywanu wychodziły na zero. Rekordzistą w dziedzinie uzyskanej kwoty był pewien Cygan, który trafiwszy na panią doktor gdzieś pod Golubiem Dobrzyniem, otrzymał za dywan wart 180 kwotę 2300 złotych. Owa pani, zobaczywszy go, pomyślała że to Turek i wyraziła głośno swój zachwyt, twierdząc, iż „kocham handlować z Turkami”. Cygan w jednej chwili zmienił się w Turka, syntetyczny gniot nabrał blasku w wyniku swego niebanalnego pochodzenia, otóż stwierdził on, iż wraca właśnie z wystawy w Poznaniu, gdzie za ten „szlachetny gobelin” proponowano mu bająćskie sumy, lecz on – uczciwy kupiec z uwagi na sytuację, a w szczególności nieprzeciętny urok osobisty pani doktor odda go za drobny ułamek tej kwoty. Tak oto w nowoczesnym, pięknie urządzonym domu zagościła tandeta. Swoją drogą ciekawe, jaka była reakcja jaśnie wielmożnego małżonka, gdy po powrocie do domu zorientował się w sytuacji.

Oni aż tak spektakularnych akcji nie przeprowadzali, zadowalając się nieco szerzej pojmowanym minimum. Po około roku rozdzielili się, a Mati do pomocy wziął dawnego kolegę, któremu po opuszczeniu zakładu karnego żona urodziła drugie dziecko i nie bardzo wiedział, jak sobie z tym wszystkim po-

radzić. On to przed trafieniem za kratki handlował dywanami z owym „uzdolnionym Turkiem”. Ich współpraca nie potrwała jednak długo, z jednej strony dlatego, że nadeszła jesień i nastroje wśród klientów uległy zachmurzeniu w perspektywie zbliżającej się zimy, z drugiej zaś, gdyż od paru miesięcy Mateusz miał znacznie intratniejsze źródło dochodu, jakim była „sprzedaż papierosów...”

Po opuszczeniu rodzinnego domu jego życie całkowicie się zmieniło, stracił nad nim kontrolę. Nie istniały już żadne ograniczenia. Mogąc robić co mu się podoba, wypłynął na głęboką wodę, wpadając we wszelkie dostępne środowiska. W życiu zawodowym nie miał nikogo nad sobą, zatem zdarzało się, że wychodząc z domu w piątek, „ładował awaryjnie” w poniedziałek, będąc przekonany, że właśnie jest niedziela... Zaczął eksperymentować ze wszystkimi dostępnymi środkami psychoaktywnymi (poza stosowaniem dożylnym), odbywając podróże w głąb nieznanego dotąd świata, z którego teraz miał możliwość czerpać co i ile tylko chciał. Pokusy były przeogromne...

Zbliżały się jego dziewiętnaste urodziny. Osiemnastka przeszła... prawie bez echa, kiedy to wracając do domu, zauważył w drzwiach zapięty łańcuch antywłamaniowy, który natychmiast zdjął. Wchodząc do środka, usłyszał dźwięk pozytywki odgrywającej melodię „Happy Birthday To U”. W mieszkaniu panował półmrok. Zapalił więc światło, a tam w ciszy, ze w łzami w oczach siedziała ona – jego Buba...

Było to jedno z najwspanialszych doświadczeń w jego życiu. Przytulili się bez słowa, jak wówczas, gdy (wtedy jeszcze) tatuś nie wracał na noc do domu, a oni wypatrywali w oknie, czy czasem nie nadchodzi. Ledwie sięgał do parapetu. Płakała,

a on wtulał się w nią i razem było im łatwiej. Nieważne było, że pali jednego za drugim, wtedy nic nie było już ważne...

Spędzili razem kilka godzin, mówiła że Waldek go pozdrawia i cała rodzina, a Kaziu wie, że przyjechała do niego. Około dwudziestej drugiej odjechała, a tę pozytywkę zachował do dziś.

Patent z papierosami polegał na tym, że w opakowaniach zbiorczych tzw. „sztangach” zamiast papierosów znajdował się styropian obciążony prętem. Zaczęło się od tego, iż ktoś komuś wyłożył kiedyś całkiem pokaźną kwotę na wyprodukowanie pewnej ilości „fajansu”, jak określano produkt końcowy, a że w przypadku osoby odpowiedzialnej za stronę techniczną owego przedsięwzięcia istniało silne zniekształcenie w kierunku gier hazardowych, ostatecznie interes nie wypalił, a próbna partia trafiła w ręce Matiego. Były to co prawda niedoskonałe kopie różniące się od oryginału nasyceniem kolorów, jak również ofoliowaniem, gdyż oryginał posiadał specjalny pasek służący do otwierania, a i folia była innego gatunku. Stanowiły jednak na tyle „dobry” towar, aby znaleźć na niego klienta. Pierwszy „strzał” wykonał zupełnie bez przygotowania w okolicach Wigilii Bożego Narodzenia 1996 roku. Była to kwota bliska trzem tysiącom złotych do podziału.

Dostrzegłszy potencjalne korzyści, zajął się tym na szerszą skalę, po pewnym czasie rezygnując z drukowania na rzecz oryginalnych opakowań odkładanych przez właścicieli sklepów i hurtowni papierosów na terenie Torunia. Zaczynali od kwoty pięćdziesięciu groszy za sztukę, po kilku miesiącach osiągając porozumienie, wskutek którego cena stanęła na złotówce za umiejętnie opróżnione opakowanie wraz z kompletną folią, dzięki czemu proces produkcji omijał bardzo kosztow-

ne foliowanie. Miał takich źródeł około ośmiu, co zapewniało płynny rozwój interesu. O ile na początku sam zajmował się produkcją, po pewnym czasie znalazł grupę zaufanych, będących mu jak rodzina osób, które zgodziły się dla niego pracować. W tym czasie poznał niczym różę, miłość życia, kiedy to mieszkając z pewną o dziesięć lat od siebie starszą panną, umówił się na spacer z o dwa lata młodszą siostrą koleżanki swego brata. Była drobną siedemnastoletnią brunetką o dużych, brązowych oczach i delikatnym wnętrzu.

Waldek właśnie się ożenił, a kilka miesięcy później na świat przyszła Lulu.

Na pierwszym spacerze coś zaiskrzyło i zaczęli spotykać się regularnie, a parę tygodni później zakończył stary związek. Nie ma się zresztą co dziwić, dziesięć lat różnicy i łączyła ich wyłącznie namiętność. Prawdę mówiąc, został złowiony, kiedy to owa niewiasta, poszukując jego ówczesnego kolegi i współnika, wypytywała o niego. Znali się sprzed lat, kiedy jeszcze pracowała za barem we wspomnianym klubie Akwarium. Była kobietą pożądaną i zgrabną, której ciężko było się oprzeć. Przyszedł do jej domu z kolegą, nie wiedząc nawet, gdzie mieszka. Dowiedziawszy się o co chodzi, umówili się za dwa dni na piwo. Wtedy to ponownie ją odwiedził. Mieszkała z o piętnaście lat młodszą siostrą, która właśnie wyjechała na wakacje, więc chata była wolna. Po drugim piwie wyszła z pokoju, a wracając po chwili, stanęła na balkonie. Było gorąco, miała na sobie krótkie, jeansowe mini. Kanapa, na której siedział, stała dwa metry od drzwi balkonowych i było z niej dokładnie widać balkon. W pewnym momencie, stojąc tyłem, oparła się o poręcz, wypinając do tego stopnia, że ukazały się jej majteczki, a dokładnie mówiąc cienki, okrągły sznureczek stanowiący ich dolną część...

Jak później przyznała, zrobiła to celowo, przebierając się w międzyczasie. Po „wszystkim” zapytała:

– Jak się czujesz, współżycząc z dziewczyną Marka Litwina?..

Ów człowiek był Matiego kolegą, poza tym aktualnie siedział w więzieniu, nie wiedział więc, co zrobić. Dopiero po czasie pokazała listy świadczące, że już nie są razem, potwierdzając to również w towarzystwie dwóch osób, które znały całą sytuację. Pomimo tego został, delikatnie mówiąc, „wrobiony w awanturę”, co odbijało mu się czkawką przez kolejne siedem lat, a w dodatku stracił kolegę. Fakt, w ciągu tych dwóch miesięcy działo się wiele, a nawet bardzo. Wspólne spacerowanie nad Wisłę i do pobliskiego lasu pełne obfitujących w gwałtowne wyładowania atmosferyczne „przerw”, których jedynym świadectwem pozostawały „poobdzierane z kory” drzewa i „wypalona” ściółka. Była skorpionem o jasno sprecyzowanych potrzebach, dzięki czemu okazała się być godnym „przeciwnikiem” o zbliżonym potencjale. Istotną rolę odegrał jej półtoraroczny post, dzięki któremu słowo „rekord” nabrało nowego znaczenia. Dziwiły natomiast miny sąsiadów, którzy miast cieszyć się życiem, spoglądali nieufnie, dając tym samym do zrozumienia, że choć było lato, nie podoba im się fakt nieustannie otwartego balkonu, z którego bądź co bądź mogło się ciut wydostawać...

Papierosy schodziły, „jak woda”. Pewien kolega podłączył im transformator pod kilka drutów oporowych, dzięki czemu produkcja znacznie przyspieszyła. Wszyscy byli zadowoleni, począwszy od magazynierów na lewo sprzedających mu styropian i pręty, przez właścicieli sklepów i hurtowni, producentów, z którymi ze względu na czas często razem pracował, na

kilku kierowcach skończywszy. Każda z tych osób miała minimum kilkaset złotych miesięcznie, z czego jemu zostawało na czysto do dwudziestu tysięcy złotych. Miał mapę Polski, gdzie w rejonach dużych aglomeracji miejskich jedna przy drugiej widniały czarne kropki oznaczające miejsca, które odwiedził. Sztos był zawsze ten sam, czyli po chwilowym rozpoznaniu propozycja zakupu „lewego towaru”, który miał rzekomo pochodzić z hurtowni, gdzie „nawet kierownik brał działkę”. „Kupowali się” więc przeważnie nieuczciwi i pazerni, którzy w innych okolicznościach również kupili by towar niewiadomego pochodzenia. Pokazywał zawsze dwa dobre pakiety na karton 25 sztuk, jeden czerwony i jeden biały umieszczone po bokach w środkowym rzędzie, że po otwarciu dłuższych klap kartonu pojawiała się możliwość wyciągnięcia wyłącznie z tegoż właśnie rzędu, z którego jednak ze środka nie sposób było pochwytać z uwagi na ich jednakową wysokość. Zatem często zdarzało się, że klienci sami wybierali sobie pakiet, który chcieli sprawdzić przed wypłaceniem kilku tysięcy, a on dawał im wolną rękę, dzięki czemu czuli, że kontrolują sytuację. Zostawiał numery telefonów z zapewnieniem o możliwości dalszego kontynuowania procedury. Stał się bezczelny do tego stopnia, że kupował opakowania od mężczyzny parę miesięcy wcześniej „wykonanego” w ten sam sposób na kilkaset złotych, który z powodu krótko trwającego zdarzenia, nie był pewien co do jego osoby. Kiedyś w Gdańsku zdarzyło mu się po raz drugi podejść z propozycją do człowieka, którego oszukał jakiś czas wcześniej, na co ten, rzuciwszy „fajansem” o ziemię aż zadzwoniły pręty, zaczął wołać na pomoc kolegę. Mateusz, nic sobie z tego nie robiąc, podniósł towar i odwróciwszy się na pięcie, odszedł. Wskutek regularnie stosowanych używek

był „wyprany” emocjonalnie, wykorzystując dodatkowo język ciała i intensywnie zgłębianą wcześniej socjotechnikę. Często zdarzało się, że natrafiał na kilka osób, które z powodu odgrywanego przez niego „teatrzyku”, skupiały się na wszystkim poza tym, co dawał w zamian. Na policję raczej nie zgłaszała. Robił swego czasu jedyny „zwrot” w Toruniu, w którym z reguły nie brudził. Zdarzyło się to podczas dłuższej imprezy, kiedy to jakiś gentelman z wyższej konieczności „padł” na kilkaset złotych. Niedługo wcześniej miało miejsce włamanie do Matiego samochodu, po którym, spotkawszy pewnego policjanta, usłyszał:

– Dlaczego nie zgłosiłeś?

– Czego nie zgłosiłem? – spytał zdziwiony Mateusz.

– No, że kilka dni temu włamali ci się do samochodu – odpowiedział.

– A skąd ty to wiesz?

– Bo myśmy już połapali sprawców, zabezpieczyliśmy dowody i czekaliśmy tylko na zgłoszenie – odparł.

– Nic nie będę zgłaszał, szkoda tylko szyby za tysiąc dwieście złotych. – A co z towarem?

– Leży na komisariacie – powiedział policjant i odszedł.

Mati poznał go kilka miesięcy wcześniej pod domem swej narzeczonej, kiedy ten odstąpił od wypisania mandatu za złe parkowanie. Okazało się, że było to kilku małych, którym nawet gdyby się udało, nie odnieśliby z tego żadnej korzyści z powodu znajdującego się wewnątrz styropianu. A tak, w przypadku zgłoszenia, groziłoby im od roku do dziesięciu lat pozbawienia wolności. Chciał tego uniknąć. Poszedł do nich odzyskać pieniądze za wybitą szybę, a że byli „splukani”, wybaczył, miał zresztą drugą, zapasową. Skradziony to-

war po czasie odzyskał, biorąc go „za flaszkę” z komisariatu. Ów policjant, wiedząc czym Mati się zajmuje, poinformował go o zgłoszeniu w sprawie dokonanego oszustwa, radząc, aby to lepiej załatwił. Podał mu również dokładny adres, dokąd ten natychmiast się udał. Byłaby to dość zagmatwana sprawa z uwagi na fakt, iż oszukany nie posiadał wystawionej faktury, lub nawet paragonu, co mogłoby potwierdzić czystość jego intencji. Na miejscu okazało się, że tym razem to on postanowił na Matim zarobić, żądając prawie dwukrotnie tyle, ile zapłacił. Skończyło się na perswazji sugestywnej. Następnego dnia rano szczęśliwa na jego widok małżonka okazała się być osobą rozsądną i ku obu stronnej korzyści przyjęła „zwrot” wraz z drobnym upominkiem i delikatnym przepraszam. Zdarzyło się jednak kiedyś, że podczas „turnée” po Polsce wpadł w tarapaty mogące przez lekkomyślność zakończyć się tragicznie. Jeździł wówczas na polsko-niemiecką granicę, gdzie po upadku komuny jeden po drugim powstawały prężnie funkcjonujące ośrodki skupiające różnego rodzaju przygraniczny handel. Ludziom w to zaangażowanym, zajmującym się obrotem artykułami tytoniowymi żyło się, jak „pączkom w maśle” głównie dzięki kwitnącemu w tym czasie przemytowi papierosów ze wschodu. W przeciwieństwie do skrajnie ubogich rejonów wschodnich, gdzie babunie z chustkami na głowach, wystając na mrozie, oferowały po kilka paczek celem uzbierania na chleb (dlatego na wschód nie jeździł), tutaj „żarło” się na dużą skalę, a o kilku paczuszkach lepiej było nie wspominać. Wielu z tutejszych krezusów wprost prześcigało się w wymyślaniu coraz to nowszych sposobów na pokazywanie swego bogactwa, w tym czasie panowała moda na mercedesy. Niektórzy posiadali ich po kilka. Większość z tych wybitnie – jak im się

zdawało – uzdolnionych w dziedzinie biznesu ludzi, podobnie jak ich małżonki, lubowała się w stanowiącej podkreślenie pozycji społecznej złotej biżuterii o rozmiarach XXL przypominającej trochę „krowie łańcuchy”. Pewnego dnia, biorąc ze sobą kolegę, Mati wyruszył w stronę południowej strefy przygranicznej, kierując się na Zgorzelec. Zazwyczaj jeździł sam, nie potrzebując wsparcia w tym, co robił, tym razem jednak jechał własnym samochodem, potrzebny był więc ktoś, kto po opuszczeniu auta zostałby w środku, tym bardziej że zdarzały się sytuacje, gdy trzeba było odjeżdżać „na gorąco”. Wówczas samochód czekał odpalony. Po przyjeździe do Zgorzelca, które to miasto podobnie jak wiele innych odwiedzał po raz kolejny, nie znalazł nikogo chętnego, gotowego natychmiast „wypluć” ponad dwa i pół tysiąca marek. Strefa przygraniczna miała to do siebie, że transakcji dokonywano tu przeważnie w markach, co jak najbardziej mu odpowiadało. Pojechali więc w kierunku bazaru w Łęknicy, gdzie jeszcze przed wjazdem do miasta dostrzegli na poboczu pawilon z bogato wyeksponowanymi pakietami najróżniejszych marek papierosów. Chwilę przed tym „złapali gumę”, gdy wyjeżdżając w pośpiechu z jednego z bazarów leżących przy drodze szybkiego ruchu na Olszynę, Mateusz nie zauważył dziury w asfalcie. Został rozpoznany przez jednego z handlarzy, z którego kolegą najprawdopodobniej miał wcześniej kontakt.

W Łęknicy był już kiedyś, około sześciu miesięcy wcześniej poznał tu trzech Ukraińców, z których dwóch było rozmiaru „szafy”, trzeci zaś wzrostu około 170 centymetrów, będąc najbardziej rozbudowanym, zapewne był ich szefem. Kupili wówczas dwa kartony Marlboro za kwotę prawie tysiąca marek. Od tamtej pory w Łęknicy nie bywał. Wszedł więc do pawilonu,

gdzie siedziały dwie kobiety, jak się później okazało jedna była pracownikiem, druga natomiast konkubina miejscowego „wiraszki”, do którego należał interes. Po krótkiej rozmowie kupiły cztery z sześciu kartonów za łączną kwotę prawie dwóch tysięcy marek, po czym, zostawiwszy im numer kontaktowy, odjechał. Zatrzymali się w wulkanizacji około dwóch kilometrów od miejsca zdarzenia, aby odebrać pozostawione wcześniej koło. Po wymianie, w trakcie której bacznie obserwowali drogę, udali się w kierunku Węglińca – miasta oddalonego o kilkanaście kilometrów, gdzie odbywało się akurat coroczne święto grzybów połączone z zawodami drwali. Przyjechała telewizja, sprzedawali balony napełnione helem, były też kiełbaski z grilla i piwo, więc przez trzy spędzone w Węglińcu dni bawili się, korzystając z dobrodziejstw życia. Nadszedł w końcu czas, kiedy trzeba było coś postanowić, że albo sprzedają pozostałe dwa kartony, albo od razu wracają do domu. Wsiadli więc do samochodu i ruszyli w stronę drogi szybkiego ruchu, na której co kawałek stali grzybiarze oferujący w sprzedaży różne gatunki grzybów. W jednej chwili Matiemu przyszedł do głowy plan, jak to zrobić, aby zarobić, a się nie narobić, jeden z tych, które od chwili incydentu w domu często nawiedzały jego głowę w coraz to nowszych wersjach. Ostatnim razem z pomocą dwóch kobiet zorganizował akcję zbierania funduszy na budowę kościoła, której to akcji patronował sam. Po latach obserwacji doszedł do wniosku, że nie ma żadnego znaczenia, dokąd trafiają pieniądze przeznaczone na krypto nieistotne dla rozwoju ludzkości cele, gdy nauki Jezusa z Nazaretu i tak chadzały po lasach. Nic się nie stanie, gdy zaoszczędzi klechom problemów związanych z dokonaniem wyboru, jakiego koloru marmuru użyć przy budowie ołtarza. Kochanemu przez niego

Stwórcy, którego przekłamujące prawdę dla swoich potrzeb (choć często nieświadomie) grupy heretyków nazywały „Bogiem”, strasząc nim dzieci, było i tak wszystko jedno, zresztą od kiedy tylko pokaźniejsze kwoty zaczęły przepływać przez jego ręce, pomagał potrzebującym, często ubogim i bezdomnym, którym organizacje kościelne z uwagi na ich „nieodpowiedni tryb życia” nie zawsze skłonne były udzielić pomocy. Widząc tylu grzybiarzy, pomyślał, że przyda im się pamiątka z Borów Dolnośląskich w postaci kilku koszyków borowików, których w tym regionie był wysyp. Podjeżdżał więc do tych, którzy mieli ich dużo i pod pretekstem przesypania do własnego wiaderka, wsiadał i odjeżdżał. Po kilku udanych próbach spokojnie starczyłoby dla nich obydwu, coś go jednak pokusiło i na widok ojca z synem postanowił zatrzymać się po raz ostatni. Wsiadł już do samochodu, wrzucił jedynkę, nie zauważając jednak, że ów ojciec – pan na pewno po sześćdziesiątce podszedł za nim do drzwi i owinąwszy pas wokół jednej dłoni, chwycił się słupka. Samochód rusza, mężczyzna rozpoczyna jazdę na butach po asfalcie, dwójka – 50 km/h, zaczyna krzyczeć:

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

W lusterku Mateusz dostrzega samochód na niemieckich numerach i ludzi wewnątrz, z przerażeniem obserwujących rozwój wydarzeń. W jednej chwili nogi mężczyzny odjeżdżają do tyłu, nie zamierza jednak puścić. Wychylając głowę, Mati widzi, że jego nogi znajdują się niebezpiecznie blisko tylnego koła. Jeśli wpadną pod koło, zabiję człowieka! – myśli. W końcu się zatrzymuje, wysiada, mężczyzna wstaje. Ma pościerany bok ortalionu przeciwdeszczowego, na drodze zatrzymują się samochody. Mateusz wciska mu w dłoń dziesięć marek, sięga

po pierwszy z brzegu koszyk grzybów, na co ten, pokazując palcem, mówi:

– Nie te, tamte moje!

Wziąwszy co swoje, odchodzi w kierunku syna.

Ciśnienie było tak wielkie, że po zgubieniu jadących za nimi samochodów, odbili w leśną drogę – jakiś dukt wyłożony brukiem. Jadąc powoli około piętnastu minut, zdążyli nieco odechnąć.

– Wojenna krew! – zgodnie stwierdzili, dyskutując na temat mającego miejsce zdarzenia.

Po wyjeździe na drogę asfaltową ich oczom ukazało się miasteczko, gdzie po chwili dostrzegli duży bazar.

– Sprzedaję i wracamy do domu. – powiedział Mati.

Zostawił samochód na parkingu z kolegą w środku i poszedł szukać odbiorcy na pozostały towar. Spytał najpierw młodego, rosnącego faceta, na co ten poprosił o chwilę czasu i gdzieś zadzwonił. Coś mu w jego oczach nie pasowało, poszedł więc dalej i znalazłszy innego klienta, cofnął się do samochodu. Dochodzi już do celu, niosąc przed sobą dwa kartony, aż tu nagle z boków podeszło do niego dwóch typów, w tym ten, którego pytał i za łokcie wraz z towarem zanieśli na boczny parking. Po pięciu minutach było już ze trzydzieści osób, przyjechała też „wystrzelona” konkubina, od której na przywitanie dostał w twarz. Kilka minut później pojawił się również ów Ukraińiec, którego poznał pół roku wcześniej. Miał na imię Kola. Patrząc Matiemu w oczy, powiedział:

– To ten!

Miał duże kłopoty i zdawał sobie z tego sprawę. W jednej chwili przypomniał sobie grzybiarzy i starszego pana, którego do śmierci mało nie doprowadził jego głupi pomysł. Wiedział

doskonale, że to dlatego się tu znalazł. Nagle podszedł do niego Kola i spytał:

– Gdzie masz samochód?

– Gdzieś tam, na parkingu. – odpowiedział, pokazując ręką.

Ukrainiec udał się we wskazanym kierunku, a wtedy kilku stojących obok osiłków zaczęło Matiego straszyć:

– Widzisz tamtego w zielonym dresie? – zapytał rozpoczynający zagrywkę drab, wskazując na jednego z kumpli stojącego kawałek dalej.

– Widzę. – odpowiedział.

– On ma żółte papiery. Dostanie parę „baniek”, to cię załatwi i nic mu nie zrobią. – powiedział drugi osilek z delikatnym zadowoleniem w głosie.

– Ale ja wam oddam pieniądze. – rzucił w odpowiedzi Mateusz.

Była to wówczas jedyna rozsądna linia obrony, jaką mógł przyjąć, wszystko zależało od tego, czy pójdą na to, czy nie. Po chwili Kola wrócił i coś im powiedział, wiedzieli już, że bywał w Lubieszynie, Kołbaskowie, Świecku, Gubinie, Karłowie, a także w Olszynie, Zgorzelcu i Lubawce. Gdyby go jednak oddali, nie odzyskali by swoich pieniędzy, a taka szansa się pojawiła. Wyglądało na to, że na kogoś czekają. Po kilkunastu minutach podjechało audi avant i wysiadł z niego wysoki, łysy mężczyzna około czterdziestki, który przyjrzawszy mu się, powiedział:

– Weźmiemy go do Chwaliszewic, tam będzie mu dobrze.

To był Max. Wsadzili go w stare audi i pojechali w miejsce, gdzie stał jego samochód. Wówczas razem z Kolą przesiadł się i ruszyli w nieznaną mu stronę, nigdzie jednak nie widział

swego kolegi. Po drodze starał się nawiązać kontakt, próbując wybadać ewentualne plany ze nim związane. Zagadał więc:

– Kola, ja wam oddam pieniądze, jeśli o to chodzi. Każdy orze, jak może, sam rozumiesz. – powiedział.

– Pogadamy. – odpowiedział, spoglądając na Matiego.

– No co, miałem zapytać, czy mogę was wystrzelić? Moja matka wyłoży te parę tysięcy. – rzekł.

– Zobaczymy. – odparł Kola z charakterystycznym akcentem.

Mateusz wyczuł, że jest raczej zrównoważony i może uda mu się z tego wybrnąć. W rzeczywistości, gdyby go puścili, za kilka dni wróciłby, aby oddać pieniądze i mieć z nimi spokój. Mieli jego dane łącznie z dokumentami samochodu, którego nie zdążył jeszcze przerejestrować, choć umowa i tak była na Bubę, nie mogli więc zmusić go do spisania czegokolwiek. Honda, którą jeździł, była warta około czternastu tysięcy złotych, co z dużą nawiązką pokryłoby koszty wynoszące w sumie około pięciu i pół tysiąca złotych na tamten czas. Był wrzesień 1998, miał dziewiętnaście lat.

Jadąc przez las, dotarli do dużego, białego domu, wokół którego nie było innych zabudowań, okazał się on własnością Maxa. Weszli do kuchni, która jako jedyne pomieszczenie na parterze nadawała się do użytku, reszta, podobnie jak na pierwszym piętrze, była w trakcie kapitalnego remontu. Po chwili zdecydowali, że zostanie pod opieką trzech mniej więcej równych sobie wiekiem chłopaków, którzy przyjechali za nimi. Powiedzieli, że lepiej, aby nie próbował nic robić. Zostali więc we czterech, on sam i ich trzech przyglądających mu się uważnie. Pierwszy z nich, mógł być około dwóch lat od Matiego młodszy, był bratem konkubiny. Drugi, mniej więcej

jego rówieśnik, był właścicielem starego audi. Trzeci zaś, naj-
tęższy z nich wszystkich, był ze dwa lata starszy i raczej ma-
łomówny, czuł się zobowiązany kontrolować sytuację, aby nic
niepotrzebnego się nie wydarzyło. Po chwili milczenia Mati
odezwał się:

– Słuchajcie panowie, ja już po drodze rozmawiałem z Kola-
m, więc oddam pieniądze i będzie po problemie. Nie moja wina,
że akurat na was trafiłem, w końcu na czole wypisane nie ma-
cie. Rozliczę się i będziemy jeszcze wspólnie interesy robić.
W ogóle to jestem Mateusz. – powiedział, wyciągając rękę do
jednego z nich, który stał najbliżej.

– Wojtek. – odpowiedział średni, podając dłoń.
Przywitał się również z wyglądającym na najmłodszego Ka-
milem i Andrzejem.

– Skoro moja matka i tak prześle pieniądze, poproszę, aby
wysłała pięćset złotych więcej, chodźcie kupimy coś do picia
i pogramy w karty. Nie bądźmy tacy poważni, jeśli za chwilę
będziemy się z tego śmiać. – zaproponował, próbując rozluź-
nić sytuację.

Wymienił przy okazji kilka pseudonimów ludzi z południa
Polski, którzy musieli być przez nich znani, mówiąc, co
i gdzie mogliby robić, aby wspólnie zarobić i się nie narobić.
W tamtym czasie faktycznie znał już sporą grupę osób, które
z powodu młodego wieku i pewnej błyskotliwości poznawał
jedną przez drugą, robiąc czasami pewne, nie do końca legalne
rzeczy, dzięki czemu wiedział, że w razie czego może liczyć
na ich pomoc. Bez większego wahania przystali na propozy-
cję, wsiedli więc razem w należące do Wojtka audi i udali się
w kierunku stacji benzynowej. Mimo zainkasowanej trzy dni
wcześniej kwoty, Mati nie miał grosza z powodu dziur w kie-

szeniach. Całe pieniądze dał wcześniej koledze, którego aktu-
alnego miejsca pobytu mógł się jedynie domyślać. Na stacji
jego nowi koledzy kupili dwie butelki wódki, sok i karty do
gry. Papierosy miał w bagażniku swego stojącego teraz przed
domem samochodu, skąd wyjął po powrocie dwie paczki i za-
częli grać. Atmosfera nabierała rumieńców, w tle słychać było
muzykę z radia, kończyła się pierwsza butelka. W trakcie do-
wiedziało się, kto jest kim w miejscowych strukturach oraz, że
jest taki ktoś, kto na przemyśle zarabia tyle, że mógłby kupić
województwo (jeszcze wówczas) Zielonogórskie na własność.
Mówili o broni z celownikami laserowymi, noktowizorach,
a także wojskowym moście zwodzonym przez Odrę, dzięki
któremu całe transporty papierosów trafiały na zachód. Po-
wiedzieli też o możliwości zrobienia mu „gipsowych butów”
w jednej z należących do nich odlewni gipsowych krasnali,
używanych do „nauki pływania”, gdyby przypadkiem zamie-
rzał nie zapłacić. Wtedy zdał sobie sprawę z powagi sytuacji,
w której się znalazł. Druga butelka miała się ku końcowi, gdy
na to wszystko weszła siostra Kamila w towarzystwie Maxa
i Koli, a za nimi typ w zielonym dresie, którego Mateusz wi-
dział na parkingu. Na widok trwającej w najlepsze libacji ko-
bieta rzekła:

– Co tu się dzieje?.. Mielicie go pilnować!
Nastąpi cisza. Koledzy nagle pobledli, a „z urodzin zrobiła
się stypa”. Po chwili Kola ze swym kolegą kazali mu iść ze
sobą. Zeszli do piwnicy, gdzie założywszy przedtem kajdan-
ki, zamknęli go w mieszczącym się centralnie pod kuchnią
pomieszczeniu o wysokości około półtora metra, zasuważąc
drzwi sztabą i podpierając czymś w rodzaju grubego pręta.
Panował półmrok. Po czasie, kiedy oczy zaczęły się przyzwy-

czając, zobaczył w rogu drewnianą kratownicę, na której wcześniej musiały leżeć ziemniaki. Wokół pełno było poodrywanych pędów. Co prawda w lewym górnym rogu znajdowało się małe okno, lecz nie dość że było zachlapane czymś w rodzaju błota, to tkwiła w nim krata o grubości palców, nie było więc szansy na wydostanie się, czego zresztą przy obecnym stanie rzeczy wcale nie pragnął. Nie dopuszczał bowiem możliwości powrotu do domu bez dokumentów i samochodu, poza tym w pewnej chwili dostrzegł szansę wskutek swej postawy, gdzie przez kilka godzin przebywania w towarzystwie tych trzech młodych ludzi, mając niejedną sposobność, nawet nie spróbował ucieczki. To musiało zostać zauważone. Po mniej więcej godzinie drzwi się otworzyły i dostał plastikowe krzesło ogrodowe oraz starą kołdrę, która rzucona na drewnianą kratownicę posłużyła mu w połowie za materac i przykrycie. Rano zapukał do drzwi, prosząc o możliwość skorzystania z toalety, więc po chwili dresiarz zaprowadził go na górę. Zaproponowano mu również, aby zadzwonił do domu, z czego natychmiast skorzystał.

– Halo...

– Cześć mamusiu. – powiedział.

– No cześć syneczku, gdzie jesteś? – spytała Buba.

– Jestem niedaleko Łęknicy, gdzie muszę oddać 10 tysięcy złotych, które jestem winien za papierosy. Prześlij proszę jak najszybciej te pieniądze, najlepiej przez Poste Restante, a mnie wypuszczą. – poprosił.

Podał również dane pracownicy będącej tamtego dnia wraz z siostrą Kamila, na której adres miały zostać przesłane.

– Dobrze, postaram się. – odpowiedziała.

Skończyli rozmawiać, a on poczuł ulgę. Wiedział, że kto jak kto, ale Buba nie zostawi go w potrzebie. Mieszkali w tym

czasie razem na skraju osiedla, nieopodal lasu, gdzie w trosce o dalszy los syna kupiła nieduże, dwupokojowe mieszkanie z widokiem na zakole Wisły. Mieszkając we dwoje, po pewnym czasie przyjęli chorą na raka pęcherza babcię, którą Buba zdecydowała się opiekować. Z uwagi na rozwój choroby, a także fakt, iż jako kochająca córka nie mogła zostawić matki w potrzebie, było to rozwiązanie najkorzystniejsze dla nich wszystkich. Z nimi zamieszkał też Paco.

Zaprowadzili go z powrotem do piwnicy. W jednym z kątów, gdzie znajdowały się idące do góry rury odkrył powstałe przez lata duże szczeliny, przez które wśród panującej ciszy słychać było toczące w kuchni rozmowy. Nasłuchując, rozpoznawał nowe, nieznanne głosy, co świadczyło o tym, iż przyjeżdżali tam różni ludzie. W pewnej chwili drzwi się otworzyły i dresiarz kazał mu iść do leżącej na parterze kuchni. Zobaczył tam Wojtkę i Andrzeja, usiadł na sofie, a z góry zszedł Max w towarzystwie nieznanego, łysiego mężczyzny mającego na sobie „krowi łańcuch” o wadze około pół kilograma. Z opisu kolegów wynikało, że jest to ów bogaty przemysłnik władający swym małym imperium. Podchodzi do Matiego, który w pierwszej chwili myśląc, że chce go uderzyć, zasłania twarz. On jednak wyciąga rękę, mówiąc:

– No, małolat, dobry jesteś. Mógłbyś coś dla nas zrobić.

W jednej chwili Mateusz poczuł się śmieiej, zapytał więc:

– A co na przykład?

– Pokażemy ci gdzie, pójdziesz i wyczyścisz komuś magazyn, a my puścimy cię wolno. – powiedział.

– Ja, ogólnie rzecz biorąc, włamań nie robię. – odparł Mati.

– No, to jak się zastanowisz, to powiedz. – rzekł przemysłnik, licząc, że może zmieni zdanie.

Wrócił na dół, i stanąwszy przy rurach, zaczął nasłuchiwać:

– Można by mu przestrzelić kolano i wyrzucić na autostradzie. Będzie miał nauczkę. – powiedział niski głos.

– Na razie nie, jego matka ma wysłać pieniądze, poczekamy co z tego wyjdzie. – odparł drugi głos, prawdopodobnie należący do Maxa.

Zrobiło mu się ciepło na myśl o dziurze w kolanie, czekał jednak na dalszy rozwój wydarzeń. Po południu Kola przyniósł mu plastikowy talerz z obiadem kupionym gdzieś w barze szybkiej obsługi. Miał ze sobą również pół butelki koziego mleka, które dzień wcześniej, widząc pasące się przy drodze kozy, kupił, prosząc właścicielkę o wydojenie. Zbliżał się wieczór, więc zawołano go do kuchni i kazano dzwonić. Ponownie wykręcił numer i w słuchawce usłyszał znajome:

– Halo...

– Cześć niusiu, wysłałaś? – spytał.

– Jeszcze nie, ale nic się nie martw. – usłyszał w odpowiedzi.

– Tylko wyślij, bo nie chcę tu dłużej siedzieć.

– A jak się czujesz? – zapytała Buba.

– Na razie dobrze. Muszę kończyć, kocham cię. – powiedział.

– Pa. – odpowiedziała Buba.

Na tym rozmowa się skończyła. Sprowadzono go na dół, gdzie z powodu panującej wilgoci coraz ciężej mu się siedziało. Nastąpiła noc. Wczesnym rankiem, czując się podłamani z powodu całej sytuacji, postanowił jakoś to przyspieszyć. Zawołał więc dresiarza, chcąc rozmawiać z kimkolwiek. Nikogo jednak nie było. Z nim nie miał specjalnie o czym, wiedząc, że i tak nie ma na nic wpływu. Podobnie jak Kola, on również pochodził

z Ukrainy i jak Mati zdążył zauważyć, był silnie naćpany, być może nawet amfetaminą, na co wskazywało jego nienaturalne pobudzenie. Po południu przyjechał Max, który dał mu jeszcze raz skorzystać z telefonu. Wtedy usłyszał:

– Halo...

– Cześć mamusiu, wysłałaś? – spytał niecierpliwym głosem.

– Spokojnie, nic się nie martw, wszystko będzie dobrze. – rzekła.

– Proszę, abyś poszła na postój taksówek na jedyńce i znalazła mojego kolegę Romana. Wiesz który? – zapytał.

– Tak. – odpowiedziała Buba.

– Przyjedziesz z nim do Łęknicy i o godzinie dwudziestej drugiej wymienisz pieniądze na mnie. Mam już tego dość! – powiedział załamany głosem.

Nastąpiła cisza.

– Tylko bądź, bo mnie więcej nie zobaczysz...

Z oczu pociekły mu łzy. Chciał w ten sposób uwiarygodnić się w ich oczach, jak również dać Bubie do zrozumienia, że to poważna sprawa. Po chwili wrócił do znenawidzonej piwnicy. Wiedział, że coś musi się wydarzyć, bo w końcu ile mógł tu siedzieć. Było już ciemno, gdy po niego przyszli. Pozaklejali mu oczy i usta, ręce z tyłu wiążąc przewodem, po czym wzięli go do góry i wsadzili do bagażnika. Było to stare audi Wojtka, co rozpoznał po dźwięku silnika, a także słysząc jego głos dobiegający ze środka. Po kilkunastu minutach, zwalniając, auto gwałtownie skręciło, a z wnętrza słychać było podniecone głosy świadczące, że coś się dzieje. Kilka minut później samochód się zatrzymał. Bagażnik się otworzył, rozwiązano mu ręce, odklejono plastry i nagle

znalazł się w środku lasu w towarzystwie dwóch Ukraińców. W jednej chwili usłyszał:

– Twoja matka zgłosiła na policję, wszędzie pełno psów! Przesłuchiwali dziewczynę. Masz tu klucze i wszystkie dokumenty, a tam na parkingu stoi twój samochód. – powiedział Kola, wskazując ręką kierunek.

Wsiedli i szybko odjechali. Został sam, wokół żywej duszy, wiedział jedynie w którym kierunku ma iść. Cieszył się, że w końcu odzyskał wolność. Przyspieszył kroku, aby szybciej dotrzeć na miejsce, aż tu nagle, z przeciwka zobaczył światła samochodu. Myśląc, że może im się odwidziało, schował się w krzaki. Samochód przejechał, był to stary, sądząc po głosie silnika „maluszek”, a on żałował, że go nie zatrzymał, bo być może by go podwiózł. Idąc dalej, zobaczył po prawej stronie dwa domy, w których okna zapukał, nikt jednak nie odpowiedział. Było około północy, środek lasu, nie zdziwiło go więc, że ludzie nie reagują. Ruszył w drogę, kiedy w oddali znowu zobaczył światła. Tym razem zatrzymuję – pomyślał. Macha ręką, samochód zaczyna zwalniać, nagle drzwi się otwierają, a tam w środku oni – każą mu wsiąść pomiędzy siebie. Za kierownicą Kola, obok siostra siedzącego z tyłu Kamila i Max. Zaczynają głośno planować, co z nim zrobić, czy go załatwić tak, czy siak, czy może... W tym momencie Mati zabiera głos:

– Słuchajcie. Skoro moja mama zgłosiła, to muszę być cały, poza tym muszę mieć samochód. Daję wam słowo, że pójde na policję i wszystko odkręcę, a co do pieniędzy, obiecuję oddać w najbliższym czasie, zresztą macie moje dane. – mówi. Po chwili dyskusji podwożą go na parking, gdzie stoi jego samochód. Wsiada i słysząc dźwięk silnika, czuje, że to już

koniec. Pozostaje jedynie wrócić do domu, tylko jak to zrobić, kiedy w baku prawie nie ma paliwa, ponieważ Kamil przez ten czas jeździł hondą po okolicy...

Przełączając na gaz, którego resztki powinny jeszcze zostać, jakoś dojeżdża do stacji, gdzie najpierw idzie do łazienki się umyć. Po trzech dniach zarastania brudem w zawilgłej piwnicy sprawiło mu to niezwykłą przyjemność. W barze sprzedał pozostałe osiem paczek papierosów, po czym zatankowawszy pełną butlę gazu, ruszył w kierunku domu. Pod Zieloną Górą musiał odpocząć, bo oczy same mu się zamykały, stanął więc w lesie i otworzywszy szyberdach, zdrzemnął się. Po około godzinie ruszył w dalszą drogę, spiesząc się do tego stopnia, że podczas wyprzedzania na trzeciego, zderzył się lusterkiem z samochodem nadjeżdżającym z przeciwka. Około szóstej rano podjechał pod klatkę, gdzie w oknie, paląc papierosa, wyglądały Buba z babcią. Grzybów co prawda już nie miał, bo mu zabrali – znalazł później kilka podsuszonych pod siedzeniem – ciągle jednak posiadał kupiony w Węglińcu balon napełniony helem przedstawiający Tweet-ego z Warner Bros, na widok którego Buba powiedziała:

– No, ty to zawsze na cztery łapy spadniesz!

Było w tym wiele prawdy, gdyż od dziecka, mimo wielu niebezpiecznych sytuacji, zawsze wychodził bez szwanku. Czasem można było odnieść wrażenie, że „ktoś” za nim stoi, pilnując, aby nic poważnego się nie stało. Prowadząc samochód, w ciągu paru lat miał kilkanaście wypadków z czołowym zderzeniem i dachowaniem włącznie. Mimo braku pasów, nigdy nie odnosił obrażeń.

Okazało się, że jego kolega uciekł po tym, jak Kola wyjąwszy kluczyki ze stacyjki, wymierzył mu policzek i kazał siedzieć

w samochodzie. Jak mówił, biegł około dwudziestu kilometrów po polach, potem wziął taksówkę, aby ostatecznie pociągiem dojechać na piątą rano do Torunia. Przyszedł zaraz po tym do Buby i opowiedziawszy jej całą historię, przerażony stwierdził:

– Chyba go pani więcej nie zobaczy...

Gdy się spotkali, oddał Matiemu pozostałe 1100 marek, nie chcąc niczego w zamian – miał dość wrażeń po tym jednym wyjeździe. Mateusz zaś pojechał na komendę, gdzie złożywszy pisemne oświadczenie, iż zaistniało nieporozumienie i nie czuje się w żaden sposób pokrzywdzony, zamknął sprawę. Z Łęknicy dzwonili jeszcze kilka razy, próbując go w nieudolny sposób zastraszać, po czym dali sobie spokój. Dwa dni po powrocie oglądał program „Pod Napięciem” ze Zgorzelca, w którym mówiono o zorganizowanej grupie przemytników papierosów dysponującej nowoczesnym sprzętem, między innymi pontonem wielkości tira, którym przerzucają papierosy przez Odrę. Od tej chwili poświęcił się pielęgnowaniu swej świeżo rozkwitłej miłości. Całe dnie spędzali razem, gotując obiady i spacerując, a co weekend chodzili się zabawić. Czuli, że są dla siebie stworzeni. Tak naprawdę Mateusz zdał sobie sprawę z uczucia dopiero po mającym miejsce na samym początku dwumiesięcznym rozstaniu spowodowanym jego odnowieniem kontaktów z byłą, o dziesięć lat starszą partnerką, o czym Róża (z pomocą życzliwej sąsiadki) dowiedziała się od swojej mamy. Przeważnie tak jest, że wszelkie kłamstwa i zdrady, mimo usilnych prób zachowania ich w tajemnicy, i tak wychodzą na jaw. Po dwóch miesiącach przerwy, kiedy już definitywnie uwolnił się z „więzów”, zaczęli ponownie się spotykać. Jednak wówczas role się odwróciły, gdy okazało się,

że w czasie ich rozłąki ona romansowała z jego kolegą, który zresztą chwilę później zginął w wypadku. Matiemu trzeba było czasu, by przełknąć piołun i pójść dalej, dopiero wówczas zrozumiał, jak wiele dla niego znaczy. To wydarzenie przyczyniło się do powstania kilku utworów romantycznych, które parę lat później znalazły się w pierwszym tomiku. Dzięki temu poprawił się również nasz kontakt.

Nadszedł rok 1999. W drodze przypadkowego spotkania Mateusz pogodził się z Kaziem, dzięki czemu kilka miesięcy później po odejściu babuni wrócił wraz z Bubą do rodzinnego domu. Na początku marca odwiedził go kolega, pytając, czy nie chciałby pojechać do Grecji na zbiór cytrusów. Powiedział, że można zarobić do czterech tysięcy złotych jeśli się chce pracować, a ponieważ Mati nie jeździł już z papierosami, pomyślał, że z przyjemnością się wybierze. Dzwońniąc pod numer firmy organizującej wyjazd, dowiedział się, że potrzeba 150 dolarów, aby wyruszyć, spakował się więc i wraz z kolegą pojechali na dworzec, gdzie miał być podstawiony autokar. Czekala tam już dość pokaźna grupa osób, w liczbie około trzydziestu, byli to ludzie z różnych części Polski, choć w większości z regionu Kujawsko-Pomorskiego. Po kilku minutach podjechał autokar z którego wysiadł mężczyzna w wieku mniej na oko trzydziestu lat w wyciągniętym swetrze i z kilkoma ubytkami w uzębieniu, który twierdził, że jest organizatorem. Do Mateusza jednak ów człowiek nie przemawiał, a na dodatek okazało się, że dolary trzeba mieć ze sobą na prom do Grecji, a on życzy sobie dziewięćset złotych od osoby za pomoc w załatwieniu pracy. Kilka osób od razu zrezygnowało, oni natomiast nie mieli pieniędzy żeby zapłacić. W tym czasie, za autokar podjechał opel omega

z czterema siedzącymi wewnątrz „karkami”, z którymi zaczął rozmawiać. Coś Matiemu nie pasowało, postanowił więc go zawołać i porozmawiać:

– Te dziewięćset złotych, to za co dokładnie? – spytał.

– Za skontaktowanie was z Grekiem, właścicielem plantacji, to dla niego będziecie pracować. – odpowiedział mężczyzna.

– Pokażesz mi swoje białko, dostaniesz pieniądze i możemy ruszać. – rzekł Mati.

„Organizator” ponownie podszedł do tych z opła i po krótkiej rozmowie wrócił, mówiąc:

– Widzę, że jesteś kumaty, pojedziesz więc za darmo. – zaproponował.

– Ale ja z kolegą jestem.

– Kolega też. – odrzekł, po czym zaczął zapraszać ludzi do środka.

„Białko”, było to potoczne określenie dowodu osobistego, którego niechęć pokazania świadczyła, że będzie się działo. Zadowoleni wsiedli do autokaru, zajmując miejsca na samym końcu, gdzie przez całą drogę bawili się w najlepsze. Łącznie wyruszyły dwadzieścia dwie osoby, w tym ich dwóch za darmo. Organizator wycieczki wysiadł już na polsko-czeskim przejściu granicznym, dalej więc pojechali sami. We Włoszech, jak można się było domyśleć, nie czekał na nich nikt poza setkami latających nad głowami mew. Bari było pięknie położonym miastem znajdującym się mniej więcej u nasady obcasa w bucie przedstawiającym na mapie Italię. Była godzina ósma rano, prom odpływał o szesnastej, było zatem parę godzin, które postanowili wykorzystać na zwiedzanie. W sześć osób poszli więc wybrzeżem w stronę słynnej ulicy

Lungomare, gdzie spotykały się pary, a nocami wystawały prostytutki. Mimo połowy marca było około piętnastu stopni ciepła i świeciło słońce. Po drodze, jak sięgnąć wzrokiem, wszędzie rosły palmy, a w powietrzu czuć było zapach jodu. Wrażenia były wspaniałe. Wokół starego miasta rozciągały się wysokie na dziesięć metrów mury obronne, a na ulicach co kawałek rozmieszczone były służące do gaszenia pragnienia wodotryski z krystalicznie czystą wodą. Nieopodal portu w Bari stał zamek królowej Bony. Spotkali kilka Polek, które słysząc z daleka rodzimy język, same do nich podeszły, pytając, skąd są i co robią. Od nich dowiedzieli się, że wielu naszych rodaków odwiedza znajdujący się w widocznym z każdej części miasta wieżowcu z napisem KENBO – bar Motta. Zaproponowały nawet pomoc w razie, gdyby nie znaleźli nic w Grecji, co niezmiernie ich ucieszyło, zostawiając otwartą „furtkę”. Zbliżała się piętnasta, wrócili więc do portu, gdzie czekała ich odprawa. Część podróżnych zdecydowała się wracać do Polski, ostatecznie tylko dwanaście osób wsiadło na prom do Igumenitsy. Był to dość duży prom, na rufie znajdowały się trzy różnej wielkości odkryte baseny. Wewnątrz mieścił się bar z dyskoteką i salą konferencyjną, było też kasyno i kilka sklepów. W nocy mocno bujało, wyszli więc na górny pokład, gdzie dzięki opadom deszczu ślizgali się na butach. Kolega miał discmana z arabską muzyką, która specyficznie nastrojała, powodowała uczucie bezgranicznej wolności. Rankiem, dopływając do wybrzeży Grecji, zobaczyli dziesiątki wysp i wysepek, niektóre z nich o powierzchni zaledwie kilkuset metrów kwadratowych służyły ptakom za miejsce do gniazdowania. Schodząc w końcu na brzeg, pierwsze kroki skierowali do wody, zdejmując majtki i rzucając je w morze. Grecja

była piękna. Igumenitę – nieduży port rybacki, z jednej strony otaczało skaliste wybrzeże, z drugiej łagodnie wznoszące się wypukłości terenu porośnięte obficie w tym regionie występującymi gajami oliwnymi. W nadziei znalezienia pracy wybrali się autobusem do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów miasta Arta, gdzie ich zdaniem istniała większa szansa znalezienia czegokolwiek. Po dwóch dniach spędzonych na poszukiwaniu i kilkunastu przebytych kilometrach okazało się, że zbiór cytrusów właśnie dobiegł końca, a więc skończyła się i praca. Wsiedli wówczas w dwie taksówki, ponieważ cztery kolejne osoby postanowiły zostać Grecji i wrócili do portu, skąd za dwa dni odpływał prom powrotny do Włoch. Przez ten czas, kręcąc się po miasteczku, przyjmowali duże ilości słynnego na całym świecie Ouzo, czyli greckiej anyżówki. Po powrocie do Bari połowa znów się odłączyła i zostali w czterech, dwóch z Torunia, jeden z okolic i jeden z grudziądzkiego osiedla Mniszki. Natychmiast nawiązali kontakt z Polkami. Było to kilkanaście urodziwych, przeważnie młodych i wolnych dziewcząt, które zaprowadziły ich na dworzec kolejowy, gdzie na bocznicę stały wagony sypialne ze składów kończących bieg, oczekujące na sprzątanie. Dzień później pomogły im też znaleźć mieszczące się w odległości dwustu metrów od dworca Centro Di Giorno, czyli coś w rodzaju Caritas, gdzie otrzymali klucze od szafek wraz z możliwością wykąpania się i dwa posiłki dziennie. Był koniec marca, temperatura przekraczała już dwadzieścia stopni. Musząc jeszcze zadbać o stronę materialną, zaczęli szukać pracy. Popołudnia spędzali teraz nad morzem pod palmami, od czasu do czasu pijąc w towarzystwie dziewcząt polską wódkę. Pewnego razu pod jej wpływem wpadli na pomysł, aby kąpać się w wodzie o temperaturze kilku stopni, co w przypadku Ma-

tego skończyło się zapaleniem oskrzeli i dwoma tygodniami męczarni. Kolega z Grudziądza potrafił wróżyć z ręki, twierdził nawet, że wygrał jakiś konkurs polegający na trafnym przepowiedaniu przyszłości. Podobno był kiedyś satanistą. Wróżył kolegom, a zobaczywszy dłoń Mateusza, zamilkł, stwierdzając jedynie, że „wszystko będzie dobrze”. Mati nie wiedział jeszcze, co to miało oznaczać. Po pewnym czasie odkryli wagon z pościelą jednorazową używaną podczas podróży, dzięki czemu od tej chwili codziennie mieli czystą pościel. W wagonach sypiało wiele osób przychodzących na co dzień do stołówki, byli to ludzie z różnych warstw społecznych, przeważnie zmuszeni przez los. Bywała tam skrzypaczka pochodząca z ogarniętego wojną Kosowa, bywali Arabowie, z których z jednym zaprzyjaźnili się od początku. Był to Tunezyjczyk o nienaganej aparycji, którego wiatr przywiał do Włoch, miał nieco po trzydziestce i kupił od nich wiertarkę skradzioną przez któregoś z zakrystii w Grecji, co znacznie podreperowało ich wątki od chwili przyjazdu budżet. Bywało tam również kilku miejscowych narkomanów, którzy mimo zwracanej im uwagi, potrafili „grzać”, gdy reszta spożywała posiłek. W centrum działał również kącik artystyczny, gdzie kto chciał, mógł rozwijać ukryte talenty. Malowali więc obrazy, lepili maski z masy papierowej, na którą składały się rozmoczone, stare gazety i klej do papieru. Mateusz wykonał kiedyś pracę pt. „dwoistość natury ludzkiej”, była to głowa o dwóch odmiennych, stopionych ze sobą twarzach, z których jedna przedstawiała niejako Indianina o szerokim, czerwonym licu, druga zaś demona o sieniej skórze, wąskich ustach i wilczym spojrzeniu. W wagonach dość często zdarzały się naloty, kiedy to policja, wpadając, zabierała wszystkich obecnych na komisariat.

Po dwóch wpadkach Mati zaczął sypiać na środku, zasuwając rolety we wszystkich bocznych przedziałach, dzięki czemu zanim wpadający równocześnie z dwóch stron policjanci docierali do środka, leżał już bezpiecznie schowany w przestrzeni nad wejściem, dokąd nie sięgało światło latarki. W ten sposób nauczył się unikać kilkugodzinnych przesłuchań. Przemierzając ulice, spotkali kiedyś mężczyznę, który potrzebował dwóch osób do pracy przy kładzeniu kafelków. Mati nie miał o tym pojęcia, poszli więc, grudziądzanin z jego kolegą mający doświadczenie w tej dziedzinie. Po kilku tygodniach bezskutecznych poszukiwań w końcu zaczęło się coś dziać. Były to co prawda nieduże pieniądze, wystarczały jednak na podstawowe potrzeby. Wówczas doszło do awantury pomiędzy nimi, a jednym z narkomanów, który mimo wcześniejszych scysji, po raz kolejny robił sobie zastrzyk w czasie posiłku. W odpowiedzi na reakcję Polaków, obrzucił ich słowami, których znaczenie doskonale już wtedy znali. Przypadek chciał, że idąc w nocy po bocznicy, dostrzegli go śpiącego w jednym z wagonów, w którym drzwi od środka zabezpieczył sobie drutem. Nie zamierzali go skrzywdzić, a jedynie do niego przemówić, co najwyżej lekko przestraszyć, więc chwyciwszy go za kłapy, Mati potrząsnął nim w pozycji leżącej, licząc, że odniesie to zamierzony skutek. Następnego dnia po raz pierwszy nie poszedł na obiad, umawiając się z kolegami po południu w portowym barze. Cały dzień opalał się w porcie. Gdy nadeszli, usłyszał, że ów Leonardo, jak miał na imię narkoman, sprzedaje narkotyki dla jednego z miejscowych bossów, a w stołówce dwóch typów pytało o niego, bo według narkomana Mateusz „chciał mu obciąć głowę”. Przypomniawszy sobie nagle pliki pieniędzy, które tamten wyjmował, idąc pod prysznic, co potwierdzało,

że miał poważny problem. W starej części Bari regularnie dochodziło do strzelanin, w których często ginęli ludzie, poza tym w leżącym niedaleko regionie Calabria działała organizacja zajmująca się handlem ludźmi. To tam w okolicach Foggi w późniejszym czasie ujawniono istnienie obozów pracy, w których bez śladu ginęli Polacy. Poprosił więc o przyniesienie swoich rzeczy w umówione miejsce, skąd dwa dni później udał się do Rzymu. W tym czasie prawie nie spał, widząc w każdej napotkanej osobie bandytę gotowego wbić mu nóż w plecy. W Rzymie, z uwagi na początek maja, czekał trzy dni na otwarcie polskiej ambasady. Otrzymałszy pożyczkę, przyjechał do Polski, odwiedzając mieszkającego w Krakowie wujka, z którego pomocy niejednokrotnie wcześniej korzystał. Po przekroczeniu granicy dopiero poczuł się bezpiecznie.

Wuj był ogólnie szanowanym biznesmenem mającym rozległe kontakty nie tylko w Polsce, lecz także w wielu krajach świata. Prowadził szeroko rozwiniętą działalność w branży samochodowej, zajmując się również obrotem nieruchomości. Od niego usłyszał, że gdyby wcześniej zadzwonił, ten pomógłby mu, kontaktując ze swymi przyjaciółmi we Włoszech. Po dwóch dniach odpoczynku w Krakowie wrócił do domu.

Od momentu pojawienia się Lilianny pieśczośliwie zwanej przez Matiego Lulu, życie ich domu się odmieniło. Świeżo upieczeni dziadkowie cieszyli się każdą chwilą spędzoną w towarzystwie wnuczki, a więzi pomiędzy członkami rodziny się zacieśniły. Teraz, stawiając samodzielne kroki, zaczęła już mówić. W miłości po kolejnej, trwającej na czas wyjazdu przerwie nastąpiła wiosna, a Mateusz poszedł do szkoły. Było to trzyletnie wieczorowe liceum ogólnokształcące,

gdzie przyjęto go na semestr drugi. Z własnej woli pomagał czasem rodzicom, a wieczorami chodził na zajęcia.

Nastał rok 2000. Waldek skończył studia, pracował już dwa lata w szkole, jako nauczyciel wychowania fizycznego, prócz tego dorabiał jako trener w klubie pływackim w Toruniu. Z Matim natomiast skontaktował się kurator przydzielony mu przez sąd prawie trzy lata wcześniej i poinformował o odwiezieniu wyroku w wymiarze jednego roku pozbawienia wolności, na który skazany został za oszustwo bankowe dokonane na początku 1997 roku. Było to kilka miesięcy po incydencie w domu, kiedy potrzebując gotówki, wyłudził kilka tysięcy złotych, podrabiając podpis. Teraz przyszło mu za to zapłacić. Chcąc uchronić rodzinę przed ciągłymi nalotami policji, spakował torbę i sam stawił się do aresztu śledczego w Toruniu, gdzie z powodu błędu literowego w nazwisku nie chciano go przyjąć, odsyłając do sądu. Dopiero następnego dnia, okazując prawidłowo wypisane wezwanie, usłyszał od funkcjonariusza przyjmującego na bramie wejściowej:

– Teraz zapraszam.

W magazynie otrzymał pościel, dwa koce, poduszkę, plastikowe naczynia i sztućce, po czym trafił do celi. Tak się zaczęła jego przygoda w więzieniu, której koniec przypadał na dzień 24.10.2001 roku. Po dwóch tygodniach został przetransportowany do Potulic, skąd pojechał do pobliskiego Strzelewa, gdzie mieścił się zakład typu półotwartego, do którego trafił z powodu dobrowolnego stawieństwa. Był to budynek dwukondygnacyjny, gdzie wszystkie sale były pootwierane, dzięki czemu można było się odwiedzać. Łazienka wraz z ubikacją znajdowała się na korytarzu, obok była palarnia, a na dole stał przeważnie zajęty stół do tenisa stołowego. W ośrodkach ze-

wewnętrznych takich jak Strzelewo nie odczuwało się tak izolacji, jak w zakładach karnych typu zamkniętego. Co dzień przysługiwało prawie pięć godzin spaceru odbywane na terenie wielkości połowy boiska piłkarskiego, istniała również nieograniczona możliwość korzystania z telefonu do godziny dwudziestej drugiej. Po cichu liczył, że po upływie połowy kary zostanie warunkowo, przedterminowo zwolniony, jak się jednak miało okazać, rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Po kilku dniach dostał pierwszy „kwit” – wniosek o wymierzenie kary dyscyplinarnej za palenie kadzideł na terenie ośrodka, które to kadzidła wcześniej pozwolono mu w paczce otrzymać. Coś było nie tak, lecz jeszcze nie wiedział, co. Krótco potem dostał kolejny wniosek za „chodzenie po korytarzu”, gdyż kilka godzin wcześniej, kiedy funkcjonariusz oddziałowy prosił o pozostanie w salach z uwagi na przyjazd komisji, on był na świetlicy, przez co nie słyszał. Mimo sprzeciwów, w obydwu przypadkach został ukarany dyscyplinarnie. Trzeci raz był za ominięcie kolejki na stołówce, gdzie nie zdążył na czas, a kolega trzymający miejsce wpuścił go przed siebie. W następnym przypadku nie miało już znaczenia, czy to będzie kwit, czy wykwit. Stwierdził, iż błędem był sam przyjazd do tego miejsca, co tylko oddaliło go od szybkiego powrotu do domu. Po czasie okazało się, że niektórzy funkcjonariusze przeprowadzali celowe prowokacje, próbując manipulować osadzonymi, wskutek czego powstała tam sieć konfidentów „kablujących” jeden na drugiego. Po sześciu tygodniach zmieniono mu podgrupę i wrócił do Potulic. Był to jeden z kilku największych w kraju zakładów karnych typu zamkniętego, gdzie do niedawna na bramie wjazdowej wisiała informacja „Zakład o Zaostrzonym Rygorze”. Wewnątrz znajdowało się siedem

dwukondygnacyjnych budynków mieszkalnych oraz budynek szpitala więziennego ze specjalistycznym oddziałem dla chorych na gruźlicę. Plac spacerowy w Potulicach mieścił się na środku zakładu i składał z dwóch osobnych, przylegających do siebie spacerników, na które wypuszczano jednorazowo nawet po kilkaset osób, łącząc grupy z kilku pawilonów. Wrażenie było niesamowite. Gdy pierwszy raz po przyjeździe do Potulic wyszedł na spacer, był wieczór i padał śnieg. W świetle otaczających spacerniki, rzucających lekko czerwone światło lamp sodowych w jednym kierunku spacerowało kilkuset mężczyzn, poczuł się wtedy, jak na filmach, jak gdyby przebywał w więzieniu stanowym gdzieś w Ameryce. Niektórzy, jak on, dopiero zaczynali, inni mieli się już ku końcowi w swej służącej oczyszczeniu, niejednokrotnie bolesnej drodze ku wolności. W Potulicach czas stawał w miejscu. Byli tacy, którzy przebywali tam kilkanaście lat, odliczając dni, miesiące, lata. Na początku umieszczono go w pawilonie numer siedem, skąd po kilku tygodniach nie wiedzieć czemu, trafili całą całą do pawilonu numer pięć, gdzie przebywali głównie małoletni przestępcy o raczej bogatej historii więziennej. Podczas jednego ze spacerów doszło do bijatyki pomiędzy osadzonymi, Mateusz znalazł się w samym środku wydarzeń, dzięki którym sen o wcześniejszym powrocie do domu prysł tak szybko, jak się pojawił. Zostali wywleczeni ze spaceru wprost na „dźwięki”, jak nazywano celę zabezpieczającą. Była to cela w celi o wymiarach dwa na trzy metry, skąd przeważnie wydobywał się dźwięk wydawany przez brutalnie oprawianych więźniów. Po drodze, kopanym i bitym czym popadło, kazano się rozbić. Kątem oka Mateusz dostrzegł, jak jednemu z kolegów ze strachu mocz leciał po nogach... Z rękami skutymi od tyłu

rzucano ich szesnastu na ziemię jeden na drugiego, na początku depcząc, po czym poprawiano pałkami, non stop krzycząc i poniżając. Przez trzydzieści godzin nic nie pił, nie jadł ani się nie załatwiał. W nocy, gdy już pozwolono im się położyć, z braku tlenu oddychali powoli, ponieważ w takich sytuacjach celowo zamykano zewnętrzne okno, skąd jedynie przez małe dziureczki w specjalne w tym celu umieszczonej kratce do środka wlecieć mogło powietrze. Następnego dnia przyszedł lekarz, który przeprowadzając „badanie”, zaglądał poskładanym niczym koperty przez specjalny oddział uderzeniowy SW więźniom w oczy, wpisując każdorazowo „zdrowy”. Nie dostrzegał sinych twarzy, kończyn ani połamanych żeber. Po powrocie do celi całkowicie odcięto ich od świata, wstrzymując spacer i widzenia z rodziną. W ten sposób, dawano przykład młodym ludziom, że ostatecznym rozwiązaniem problemu jest przemoc, w ten sposób „produkowano” morderców...

Mateusz, nie czekając długo, dwukrotnie wyłamał sobie prawy staw barkowy, pragnąc wydostać się z Potulic, dzięki czemu został skierowany na operację do warszawskiego szpitala więziennego, który jako jedyny w kraju wykonywał tego typu zabiegi. Krótco potem z radością wyjechał w transport. W Warszawie było inaczej i mimo iż zakład przy Rakowieckiej z powodu sąsiedztwa Centralnego Zarządu SW słynął z okrucieństwa kławiszy znęcających się nad osadzonymi, w szpitalu o wszystkim decydował lekarz, dzięki czemu traktowano ich jak pacjentów, którymi de facto byli. Buba wraz z Różyczką przyjeżdżały na widzenia, odzyskał również swe prawa, których w Potulicach nie respektowano. Po operacji, otrzymując silne leki uśmierzające, osiągał stany niezwyklej płodności twórczej, do czego przyczyniała się również bliska obecność

pielęgniarek. Po ponad trzech mile spędzonych miesiącach wrócił do Potulic, gdzie sytuacja zdążyła się unormować. Ponownie, przesiadując całymi dniami „w oknie”, widywał półmetrowej długości szczury przebiegające czasem pod oknami, a także słynne konie i łabędzie, które podobnie jak więźniowie nie miały tam łatwego życia. Konie wykorzystywano do rozwożenia jedzenia po terenie zakładu, a że co niektórzy – ci mniej rozwinięci w kwestii człowieczeństwa – osadzeni gasili im papierosy w uszach, zaczęły gryźć, wskutek czego zmuszano je do noszenia kagańców. Łabędom natomiast regularnie podcinano skrzydła, przez co nie mogąc odlecieć, stanowiły żywe, pływające w starym silosie przeciwpożarowym maskotki dyrektora. Pod koniec października Mati odzyskał wolność zgodnie z wyznaczonym końcem kary i opuściwszy mury więzienia, skierował się w stronę Bydgoszczy. Zdążył ująć około pięciu kilometrów, ze szczęścia śpiewając, kiedy nagle nadjechała Buba z Kaziem. Zaraz za nimi przyjechał Waldek. Wtedy Kaziu otworzył drzwi, a z tylnego siedzenia wyskoczył szczęśliwy na jego widok Paco. Było już po wszystkim.

Po powrocie do domu prawie nie rozstawał się z narzeczoną, która przez rok czekała, wspierając go w tym ciężkim czasie. Skończyła właśnie studia licencjackie i skierowała się ku magisterium.

Rok 2002 przebiegał bez historii, powstało parę utworów, które w połączeniu z dotychczas istniejącymi stanowiły już materiał na tomik. Z Różą wybierali się czasem na ryby. Mati parokrotnie wyjeżdżał także w poszukiwaniu numizmatów i sztuki malarskiej, którą od kilku lat się interesował, odwiedzając przy okazji przyjaciół w Krakowie, gdzie miał pewne powiązania biznesowe.

W roku 2003 Róża rozpoczęła działalność gastronomiczną, Mati natomiast rozpowszechniał ów fakt wśród mieszkańców osiedla. Po kilku miesiącach interes zaczął się rozkręcać. Doszło wtedy do incydentu, podczas którego wskutek manipulacji osób trzecich rozstali się po ponad pięciu spędzonych razem latach. Bolało obustronnie. Został sam i choć podjął naukę w eksternistycznym studium, zaczął się staczać. Do łask wróciły używki, przypadkowe towarzystwo i pragnienie „żarcia”, które z dnia na dzień przybierało na sile. Wówczas pojawił się odwieczny problem, skąd wziąć na to pieniądze, w jaki sposób, nie pracując, finansować szersze niż kiedykolwiek dotąd życie? Mając za sobą wieloletnie doświadczenie i kontakty w kraju, powrócił do szeroko rozwiniętej działalności przestępczej. Ewoluuował. Co prawda interesowały go wyłącznie dobra materialne, jednak krzywdy wyrządzane przy okazji odbijały się coraz bardziej na kondycji psychicznej, pogłębiając wewnętrzną pustkę do tego stopnia, że chwilami nie wiedział już, kim jest naprawdę... Im dalej brnął, tym bardziej cierpiał, im więcej wydawał, tym więcej potrzebował, tak oto błędne koło, omamiając, wciągało małego chłopca w szpony szaleństwa.

*Odkąd pamiętam, zawszem głupotą zaślepią
jasność zamysłów swych, wszak nią wiedziony
zaiste silniejszym bywa człek aniżeli ten,
którego umysł nie zmącony...
Stłamsić ją nie sposób, gdyż rzeką napływa,
upuścić? – pewnikiem w obłędu popaść szpony,
choć z wolą Twoją, niechaj i tak bywa,
wtenczas nie będę już osamotniony...*

Pod koniec roku zapragnął mieć przyjaciela, a że Paco w trakcie jego przymusowego wylotu do Hiszpanii zniknął nagle spod bloku, z hodowli na Kaszubach kupił teriera amerykańskiego. Wybrał się po niego do Brus z kolegą. Dojeżdżając pod wskazany adres, ich oczom ukazał się niezwykle widok. Oto drzwi się otwarły, a ze środka we wszystkich kierunkach wybiegło siedem różnokolorowych miłości, z których każda piękna, gotowa była spełnić marzenie samotnej duszy, ofiarując siebie. Weszli do środka, gdzie po chwili, powodując zastygnięcie w bezruchu, pojawiła się matka. Okazała się być wspaniale ułożoną suką, można było ją głaskać bez obawy. Nagle jeden ze szczeniaków, któremu Mati przyglądał się z powodu błękitno-płowej maści, podszedł do niego siedzącego po turecku i posadził swą szanowną pupę na jego nodze. Wtedy wszystko było już jasne, dał mu na imię Samuraj. Do domu wrócił późnym wieczorem w towarzystwie nowego przyjaciela, którego sam widok zaczarował rodziców.

Pod koniec roku zapoznał dziewczynę z Katowic i zaprosił ją do Torunia. Była długowłosą brunetką, jak dwie krople wody podobną do jego byłej partnerki. Często tak w życiu bywa, że rozstając się po głębszych, miłosnych zanurzeniach poszukujemy partnera o cechach zbliżonych do ostatniego ideału. Tak było i tym razem. Znowu był szczęśliwy...

ROZDZIAŁ IV

Indygo

Nastał rok 2004, pod koniec stycznia Mati wyjechał z kolegą na południe, gdzie planując pozwiedzać Kraków, przy okazji chciał odwiedzić swą nową miłość. Wychodząc z banku na krakowskim Wielopolu, dokąd wszedł celem podjęcia pieniędzy z konta, został zatrzymany pod zarzutem dokonania trzech napadów rabunkowych na terenie Krakowa, Dąbrowy Górniczej i Tychów, choć w Tychach nigdy wcześniej nie był. Na cztery miesiące przed przystąpieniem do matury aresztowano go i osadzono w areszcie śledczym przy ulicy Monte Lupich, skąd po miesiącu trafił do drugiej jednostki przy ulicy Czarnieckiego na krakowskim Podgórzu. Było tam nieco mniej obskurnie. Duże znaczenie w sprawie miała Mateusza przeszłość, gdzie jako osoba wcześniej karana, zdaniem prokuratora mógł dopuścić się zarzucanych mu czynów. Na próżno zdawały się zażalenia składane kilka razy w miesiącu, nie wyrażono zgody nawet na odwiedziny matki, która jadąc osiem godzin w jedną stronę, miała nadzieję zobaczyć syna. Tęsknota narastała. Po pewnym czasie Mati nauczył się wyłączać z otaczającej go „kuźni umysłów”, uciekając w własny, idealny świat, gdzie nie było krat ani żadnych ograniczeń. Samotnie przemierzał kilometry spacernika, oczekując deszczu, który za każdym razem

dawał mu możliwość zespolenia się z otoczeniem. Wówczas nikt nie wychodził na spacer, mógł więc w spokoju wsłuchiwać się w symfonię metalowych krat i parapetów, czerpiąc energię roniącego sklepienia. Za murem, w oddali widać było drzewa porastające przygARBIONĄ nieco, zamyśloną górę, w której włosach otoczony miłością wiatr robił się senny. Zdawał się wtedy zawracać wprost do sąsiadującego ze spacernikiem sadu, skąd niczym rozbudzona prawda napływała woń podnieconych sytuacją, całkiem już czerwonych jabłek. Razem z nim dostrojone w ciszy trwały wróble i gołębie, które mimo oficjalnego zakazu regularnie dokarmiał kawałkami przemyconego chleba. Po jedenastu miesiącach od chwili zatrzymania przewieziono go do Torunia, gdzie podczas widzenia usłyszał straszną wiadomość. Zaczęło się od drobnej krosty w okolicy nosa Buby, która rozdrapana rozrosła się na tyle, że trzeba było ją wycinać. Diagnoza brzmiała jednoznacznie: nowotwór złośliwy! W jednej chwili wszystko inne przestało się liczyć. Nie miała już znaczenia sprawa rozwodowa rodziców, nieistotna stała się jego sytuacja, w której groziło mu do dwunastu lat więzienia. Tracił sens. Nie mógł się pogodzić, że najbliższa mu istota zmierzała w kierunku pozostawienia go samego w tym ponurym jarze, zdarzało się bowiem, że w skrajnych przypadkach, już po kilku miesiącach od momentu wykrycia nowotworu, ludzie schodzili z tego świata. Będąc u kresu wytrzymałości, świadom popełnionych błędów, targnął się na życie...

*Przeto patrzaj gołąbeczku po jasności nieposiadłe bramy,
nim kropli jednej morzem czarę rozpaczy przelejesz.
Wtenczas, w upodleniu brocząc, wytchnienia nie zaznasz,
pokąd ciemności nie nastanie kres...*

Niegdyś była farmaceutyka, nieco później destrukcja naczyń, tym razem usiłował się powiesić i tylko dzięki szybkiej reakcji oddziałowego, który zdjął nieprzytomnego z prześcieradła, uszedł z życiem. Miał wówczas wizję, że tułając się po Ziemi, rozsiewał miłość wśród milionów zagubionych dzieci, które dzięki temu odnajdywały drogę do domu...

Doszedłszy do siebie, wznowił medytację. Zagłębił się w nauki Buddy i mistrzów duchowości mówiące jasno, że to MYŚL TWORZY, a odpowiedzią na każde z nurtujących nas pytań jesteśmy my sami. W jednej chwili, pragnąc zapobiec rozpraszaniu, zamknął wrota wszystkich zmysłów, biorąc tylko niezbędne do życia minimum. TYM WIĘCEJ MAM IM MNIEJ PRAGNĘ. – rozumiał. Przestał oglądać telewizję, która manipulując, od dawna okradała go z czasu, burząc wewnętrzny spokój coraz to nowszymi bzdurami, z których żadna nie miała tak naprawdę związku z jego życiem. Nagle dotarło do niego, jak bardzo zagubił się od czasu pobytu w świątyni, kiedy to jako młody człowiek czerpał ogromną przyjemność ze służenia innym. Gdzież podział się ten świat?..

Szukając w sobie odpowiedzi, odkrył, iż nadal jest tym samym człowiekiem, że tak naprawdę nie zmieniło się nic poza chwilowym złudzeniem wynikającym z chęci udowodnienia czegoś, co wszyscy i tak mieli gdzieś. Zaakceptował siebie, wybacząc wszystkim, jak mu się dotychczas wydawało wrogom, dzięki którym nie raz miał połamane zębra i nos, uznając to za niezbędny zestaw doświadczeń. Wiedział już, że podobnie jak GŁODÓWKA z natrętnych form myślowych, PRZEBACZENIE oczyszcza, zatrzymując koło reakcji karmicznych. Wymyślił ćwiczenie przekształcające negatywne emocje względem drugiej osoby. Otóż w chwili odczuwania

jakichkolwiek zakłóceń wyobrażał sobie siebie, jako bliskiego śmierci głodowej więźnia obozu koncentracyjnego, któremu ów człowiek, mając dostęp do zasobów kuchni, z narażeniem życia ofiarował kawałek chleba. Uświadomił sobie jednocześnie, że przeszłość jest martwa. Postanawiając zakończyć wieloletnią zabawę w „światłocień”, chciał wyrażać swą prawdę i od tej chwili żyć zgodnie z własnym sumieniem, które wcześniej często okłamywał. Zaprzagnął również po opuszczeniu aresztu zająć się poezją na co dzień. Do jego rąk trafiła wówczas niewielka forma książka pt. „Pełna Wiara w Siebie” stanowiąca pierwsze wrota do prawdziwej wolności ponad dominacją i wynikającą z niej skłonnością do kontrolowania innych, w której autor dr. Robert Anthony na podstawie kilkunastu innych dzieł z dziedziny psychologii w sposób jasny i czytelny ukazuje mechanizmy ludzkich interakcji, umożliwiając nawiązywanie zdrowych relacji ze światem. W jednej chwili porzucił wszelką, doprowadzoną do perfekcji manipulację, nie widząc jej dalszego sensu. Stał się silny. Zaczął dostrzegać piękno w każdej istocie i każdym kamieniu, nauczył się szanować życie we wszystkich jego formach i choć fizycznie uwięziony, czuł się wolny. Rozmawiał teraz z ptakami i owadami, stanowiąc jedność z Wszechświatem.

Czas płynął szybko, a po kilku miesiącach wydarzył się pierwszy cud. Podczas kolejnego badania okazało się, iż nie ma nowotworu... Pomimo wcześniejszej diagnozy na podstawie pobranego wycinka Buba jest zdrowa „jak ryba” i „to lekarze musieli źle diagnozę postawić”. Cieszył się bardzo, jednocześnie zdając sobie sprawę z nagięcia rzeczywistości.

Waldek został selekcjonerem kadry Polski, a Buba doszła do wniosku, że drobne różnice nie mogą wpływać na ich dalsze

życie i wycofała pozew. Rodzina w tym czasie regularnie go odwiedzała, nawet Kaziu zaczął sam przychodzić pod „beczkę”, jak nazywano toruński areszt, a że Mateusz miał okna na ulicę, widywał też „Samusia”. Pozostawała jedynie kwestia jego pobytu w areszcie. W tym czasie z Bubą regularnie pisywali listy, wzajemnie podtrzymując się na duchu. Oto jeden z nich:

„Mamusiu, Tyś mi całym światem, wiesz? Jest środowy wieczór, dzisiaj niestety przestało padać. Przed chwilą zrobiłem sobie długopis z nowego wkładu żelowego, kartki papieru nasączonej lekko klejem i folii samoprzylepnej. Jeszcze nie potrafię dobrze nim pisać, jako że przesiadłem się z traktora orającego papier, a tu ci muskać jeno trzeba... Od niedawna czuć jesień w powietrzu, nareszcie będę mógł być ogrodnikiem i pasterzem, nareszcie będę w domu... Jesienią nawet asfalt pachnie życiem otulony kołderką z liści. Drzewa w rytm uderzeń serca wytrząsają włosy, świat staje się ospały aż w pewnej chwili zatrzymuje się zupełnie. Kołdry wypchane pierzem, wiszące nad piecem orzechy i grzyby, a w spiżarni matczyne serce ułożone równo na osnutych pajęczyną półkach. Aby dzieci były zdrowe – powiada i siedząc w starym fotelu, robi skarpetki na drutach. Jej wielkie, ciepłe oczy, od kiedy pamiętam, będące zawsze zwierciadłem świata, dzisiaj jakieś roztrzęsione. Jest siódma trzydzieści w piątek czwartego sierpnia, za oknem pada deszcz, a Mateusza już trzeci rok nie ma w domu... Potwierdza się fenomen deszczu budzący uśpioną wrażliwość, oby padało jak najdłużej, najlepiej do listopada. Wiesz, nie żałuję niczego w życiu, wstyd mi jedynie, że czasami tak się szarpałem. Czuję się dojrzały. Dojrzały do

życia, dojrzały do śmierci, dojrzały do prawdy i do tego, aby nadal być dzieckiem...”

Odbływały się kolejne rozprawy, podczas których przesłuchiowano dziesiątki świadków zdarzeń z rzekomym jego udziałem, aż w trakcie jednej z rozpraw pod koniec października 2006 roku prokurator w mowie końcowej wniósł o uznanie go winnym i zażądał dziewięciu lat pozbawienia wolności. Ogłoszenie wyroku odłożono na kolejny termin. Wówczas usłyszał:

– Oskarżony... zostaje uznany winnym zarzucanych mu czynów, sąd orzeka wobec oskarżonego karę sześciu lat pozbawienia wolności. – ogłosił sędzia.

Nie wierzył własnym uszom. Dotarło do niego, że wszystko skończone i choć tego nie zrobił, będzie musiał siedzieć. Złożył jednak apelację, dzięki której 28 października 2006 roku, po równo trzydziestu trzech miesiącach przebywania w towarzystwie niejednokrotnie bandytów i morderców, z których każdy po czasie okazywał się wrażliwym i wartościowym człowiekiem zagubionym na pewnym etapie życia, odzyskał wolność. Postanowił nie myśleć o wiszącym nad nim wyroku i robić to, czego pragnął, czyli być poetą. Został również rolnikiem na paru hektarach gruntu pod Toruniem. Z pomocą przyjaciół po dwóch tygodniach ukazał się pierwszy tomik jego twórczości, ja w tym czasie przygotowywałem drugie po „Anautonii” wydanie pt. „Autopia”. Byliśmy ze sobą bardzo blisko.

*Sztuka nieprzebrana, odwieczna sztuka,
z rana zaspana lekko, czasem głodna,
nie karmi się słowem, klaki nie szuka,
morzem ignorancji płynie swobodna.*

*Ni sztampy jej nutą, ni trend-owatość,
galerią póz piedestału ni waży,
twoja jedynie, czytelniku wartość
przebudzenia - to wszystko, o czym marzy...*

Na początku swej wędrówki Mati zaczął ulegać zniekształceniu w kierunku chęci posiadania, traktując poezję raczej jako nowy biznes, niż służbę dla innych. Dawały o sobie znać stare nawyki. Rozwiązanie znalazł, zagłębiając się w PRAWO JEDNOŚCI, dzięki któremu, pragnąc uzdrowić życie, całkowicie przewartościował swój świat. Teraz pieniądze stanowiły już tylko dodatek. Podczas gdy ja zwiedzałem piętnaście największych miast Polski, docierając na ulicy do ponad dziesięciu tysięcy czytelników z różnych warstw społecznych, on poznał wspaniałych ludzi, z których wielu wniosło Światło w jego życie.

Zaczął się od Bydgoszczy, gdzie napotkana przypadkowo na ulicy Kobieta-Anioł poleciła mu Materiały Tobiasza z Crimson Circle. Dzięki temu zaczął czytać channelingi, pragnąc posiąść wiedzę niezbędną do dalszego rozwoju, a co za tym idzie skuteczniejszej pomocy innym. Od tamtej pory zostali przyjaciółmi. Wówczas to ostatecznie przebudził się Tulku. W Poznaniu, w Domu Natury poznał Panią, od której dowiedział się wiele o sobie, co wszystko wyjaśniało. Poszczególne części układanki zaczęły ukazywać prawdę, kim jest w istocie swej ponad fizycznością i zespołem przyzwyczajzeń zwanym Mateuszem. Z dnia na dzień odkrywał tętniącą życiem ulicę. Bywali tam wszyscy, od żebraków, drobnych cwaniaków i handlarzy, po wybitnych artystów, którzy tworząc na ulicy, dzielili się swym wewnętrznym pięknem z zabieganym świa-

tem. Coraz więcej wspaniałych, młodych ludzi wychodziło na ulicę, pragnąc ofiarować coś od siebie, tym samym uczestnicząc w zbliżającym się wielkim wydarzeniu. Wywoływało to olbrzymie fale energii rozchodzące się wokół, skutek których w grymasie błogości drżały kamienice, przesycone radością powietrze rozlewało się w sobie, a wokół wibrował dźwięk... Uświadomił sobie w pełni, jak bardzo kocha ludzi bez względu na ich kolor, orientację, czy poglądy i co gotów jest dla nich uczynić. Odkrył tym samym istotę szczęścia, stając się żywym dowodem własnej transformacji. Przemierzając ulice, intuicyjnie wyławiał spośród tłumu tych, którzy potrzebowali kontaktu, lub przynajmniej byli na niego gotowi. Empatycznie "odczytywał" ludzi. Zdarzały się przypadki, gdy osoby będące u kresu wytrzymałości psychicznej wskutek przeżywanych dramatów, płakały mu w ramionach. Poświęcał im swój czas, pomagając dostrzec prawdziwe piękno otaczającego świata niejednokrotnie ukryte w plątaninie oczekiwań i niespełnionych pragnień. Zapoczątkował międzynarodową akcję „Białe Jest Piękne”, której założeniem jest zjednoczyć ludzi w Miłości, w obliczu nadchodzących wydarzeń. Polega ona na tym, aby na znak jedności w każdą niedzielę, przywdziawszy białe szaty, wyjść z domu choćby na krótki spacer, okazując w ten sposób swój brak obojętności. Akcja ciągle się rozwija. Zaczął WYKORZYSTYWAĆ POTĘGĘ MIŁOŚCI, wyznając ją ludziom na ulicy, bez powodu, kiedy to w jednej chwili zmieniał się wszystko. Wtedy nadszedł dzień rozpatrzenia apelacji, zadzwonił więc do sądu, gdzie usłyszał, że został uniewinniony... Płakali z Bubą ze szczęścia. Od początku przeczuwał, że tak się zakończy, traktuje to dziś, jako bezcenne doświadczenie,

dzięki któremu zaufał swej intuicji. Zaczął też STARANNIE DOBIERAĆ MARZENIA, wiedząc już, że się spełniają. Pod koniec 2007 wydałem „Autopię”, pragnąc ukazać związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy myślą a rzeczywistością. Mateusz natomiast wyjechał do Szkocji celem pobrania kolejnych, końcowych już lekcji z dziedziny pokory. Pracował jako robotnik budowlany, kładąc kafelki i zrywając ręce przy dźwiganiu powszechnie tam stosowanego kamienia. Wszystkiego nauczył się na miejscu „na gorąco”. Pod koniec 2008 roku, po przylocie ze Szkocji, do jego rąk trafiła książka pt. „Podręcznik Wędrowcy” Carli Reuckert. To dzięki niej poznał przyczynę wyobcowania, które od dziecka odczuwał. Jej następstwem było przeczytanie „Przewodnika Po Materiale Ra” i „Zwiastunów Świtu” Barbary Marciniak. Kolejne części z tej serii po wnikliwym, wynikającym z czystego pragnienia przeczytaniu ukazywały prastarą mądrość i magię, jak na przykład od wieków skrywana przez środowiska dążące do utrzymania władzy w rękach patriarchatu formuła specyfiku zwanego „ELIKSIREM NIEŚMIERTELNOŚCI”, który bez większych problemów można przygotować w domu. Źródła te ukazały całość, co wywołało u niego nieodparte, wewnętrzne pragnienie kontynuowania misji, przez co 20 stycznia 2009 roku wrócił na stałe do kraju. U progu największych przemian w historii Ziemi, kiedy ludzkość wkracza w NOWĄ ERE, zapragnął nieść Miłość i Światło w imię Najwyższego Stwórcy. Od dawna nosił się z zamiarem stworzenia czegoś, co przyczyniłoby się do wzrostu świadomości ludzi, budząc w kierunku Miłości i wzajemnego szacunku, nie wiedział jednak, w jaki sposób się do tego zabrać. Co prawda w drodze poezji oddziaływał pozytywnie, trafiając

na ile to możliwe do kilkunastu tysięcy odbiorców (rozdawał również za darmo), często prosząc się i dopłacając z własnej kieszeni, jednak z uwagi na specyfikę literatury pięknej, która nie do końca zrozumiałą bywa, tym razem zdecydował się na prozę.

*Po rękach całował,
łapiąc szczegół wszytek,
umysłem obcował,
a drobny przybytek
do sakiewki chował...*

-poeta-

Nigdy wcześniej tego nie robił, stąd brak mu było jakiegokolwiek koncepcji. Owszem, próbował o Miłości, również o przyjaźni, w poszukiwaniu natchnienia udał się nawet do przytułku, gdzie jako bezdomny przez pewien czas mieszkał. Nic to jednak nie dało, nadal stał w miejscu. W wyniku frustracji przyjechał do Sopotu, gdzie ode mnie wiedział o ukrytych tu możliwościach. Tak oto spotkaliśmy się na molo.

Minęły już dwie godziny, a myśmy siedzieli bez słowa, wpatrując się w zatokę. Zaczął padać śnieg, wokół nie było nikogo. W pewnej chwili odwrócił twarz w moją stronę, patrząc w dal przeze mnie, jakby mnie wcale nie było. Nagle wstał, podszedł do krawędzi i jak gdyby nigdy nic wskoczył do wody...

Poderwałem się, widząc co się dzieje, podbiegłem najszybciej jak potrafiłem i położywszy się przy krawędzi, szukałem go wzrokiem. Nie było ani śladu, jakby rozplynął się w toni. W pewnej chwili, dostrzegłszy w wodzie swoją twarz, doznałem déjà vu, wiedziałem że muszę stąd czym prędzej odejść.

Nagle zrobiło mi się zimno, więc zacząłem biec w kierunku domu. Po kilkunastu minutach dotarłem na miejsce – wszyscy już spali. Wchodząc do pokoju, usiadłem na łóżku. Panował półmrok. Przez okno widziałem jedyną w okolicy latarnię, której czerwone światło zapalało się i gasło, jak gdyby, będąc w stanie agonalnym, pragnęła coś jeszcze wykrzyczeć, zagrać ostatnią oktawę, choć nutkę... Zgasła. Następnego dnia rano, przechodząc obok kiosku, ukradkiem przejrzałem nagłówki gazet, nie znajdując jednak niczego, co by mnie zainteresowało. Poszedłem dalej w kierunku deptaka imienia Bohaterów Bitwy Pod Monte Casino.

Nie czytuję gazet, nie widząc w nich podobnie jak w telewizji nic, czemu gotów byłbym poświęcić swój cenny czas. Nagle w oddali zobaczyłem telefon, podszedłem więc i włożywszy kartę, wybiłem najbliższy swemu sercu numer. Po krótkiej chwili usłyszałem:

– Halo...

– Cześć kochana. – powiedziałam.

– A cześć syneczku. – odpowiedziała. Co słychać?

– Właśnie skończyłem pisać i niedługo będę wracał.

– A u nas od rana świeci słońce, chłopaki już o szóstej poszli na działkę... Poczekać chwilę, bo ktoś dzwoni... O, właśnie idą. – powiedziała.

– Tutaj też piękny... Wszechświat się rodzi...

– Czekaj, bo ktoś chce z tobą rozmawiać. – rzekła, oddając słuchawkę.

– Cześć synu! – usłyszałem.

– A cześć tato.

– Kiedy do nas wrócisz, Samuś już tęskni... przed chwilą gonił królika na działce. Jak przyjedziesz, moglibyśmy wy-

brać się z Bubą do Ciechocinka na cały dzień, taka piękna pogoda. – zaproponował.

– W sumie to mam jeszcze pięćdziesiąt tomików... chociaż wiesz co, pospieszę się. O trzeciej mam pociąg, więc o szóstej będę na Głównym w Toruniu. – rzuciłem.

– Świetnie, to ja po ciebie podjadę. – rzekł.

– To pa.

– Pa. – odpowiedział.

Po skończonej rozmowie zabrałem się natychmiast do pracy, chcąc zdążyć na czas. Miałem do kogo wracać, a perspektywa spędzenia kilku dni w towarzystwie najbliższych dała mi taką motywację, że po niespełna trzech godzinach szedłem już do domu po rzeczy.

W dobie sztucznie wywołanego kryzysu, zwiększającej się liczby bombardujących świadomość, socjotechnicznie zaangażowanych informacji mających na celu wywołanie strachu i dezorientacji wśród ludzi, najskuteczniejszą obroną jest wiedza prowadząca do pełnej świadomości sytuacji. Przykładem może być prowokacja dotycząca grudnia 2012, gdzie na różne sposoby rozpuszczano fałszywą informację o zbliżającym się końcu świata. Owszem, ci, którzy nie będą gotowi do „żniwa”, zakończą swą podróż. Będzie się działo jak nigdy dotąd. Jednak nie będzie to koniec, a raczej początek wspaniałego procesu, o którym od dawna mówią wszystkie znaki na niebie i Ziemi, a który już się rozpoczął. Nie przejdzie to bez echa, nie będzie łatwo. Będą mu towarzyszyć burzliwe zmiany, a transformacji ulegnie wszystko, co do tej pory znaliście, co w jakiś sposób się sprawdzało. Dojdzie do rozpadu dotychczas funkcjonujących struktur, a wokół dział się będą rzeczy, o których nawet Wam się nie śniło. Upadnie system monetar-

ny. Ludzkość dostrzeże efekty swej niszczycielskiej działalności na Ziemi. Ujawnione zostaną wszelkie fakty dotyczące globalnego spisku zmierzającego do pełnej kontroli ludzkich umysłów w imię „nowego porządku świata”, jak również skutki GMO i bestialskiego „uprawiania” zwierząt. Przygotujcie się na wstrząs, będzie jeszcze gorzej. Sposobem na przetrwanie jest MIŁOŚĆ I SZACUNEK DO ZIEMI I JEJ MIESZKAŃCÓW ORAZ WZAJEMNA WIARA W LUDZI. Razem stanowimy siłę. Nie dajmy się zastraszyć, nie pozwólmy sobą manipulować. Czas wziąć sprawy w swoje ręce i żyć zgodnie z tym, kim jesteśmy i co czujemy. BĄDŹMY WOLNI!

Przed dwoma miesiącami narodziło się pragnienie napisania książki, wskutek którego jedenaście dni temu odwiedziłem Sopot. Podobnie jak wcześniej, chodząc po ulicach Waszych miast, staram się docierać do jak najszerzej grupy tych z Was, którzy dostrzegają coś więcej ponad przyziemnością. Za każdym razem mam nadzieję rozpaść coś wyjątkowego poprzez mały tomik, proste słowo, lub uśmiech podarowany w biegu. Nie raz mam ochotę wykrzyknąć swą Miłość...

Przemykam wśród Was, trzepocząc rękami, czuję, jakby rosły mi skrzydła. Kilka dni temu wyrosła mi ostatnia „ósemka”, a dziś na plaży ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że zimą piasek również skrzypi pod stopami. Musi być jednak wilgotny...

Będąc WĘDROWCEM wśród Posłańców Światła, jestem jedną z sześciu miliardów istot ludzkich żyjących na Ziemi. Jestem jednym z Was. Spisując myśli, nie wnoszę nic nowego ponad to, co od zawsze istniało w Bibliotekach Wszechświata. Życie jest sztuką dokonywania wyborów, przy czym nie zawsze najlepszy z pozoru wybór okazuje się najkorzystniejszy.

Każda sytuacja zawiera w sobie określoną ilość potencjałów, z których możemy, lecz nie musimy skorzystać, zgodnie z naszą WOLNĄ WOLĄ. Bilet co prawda umożliwia wejście, jednak nie wprowadzi nas do środka. Wybór należy do Was.

Spis treści

ROZDZIAŁ I	Czerwony	5
ROZDZIAŁ II	Żółty	14
ROZDZIAŁ III	Zielony	45
ROZDZIAŁ IV	Indygo.....	85

Zobacz koniecznie:

WAKE.UP.CALL, ZEITGEIST, FIGHT.THE.NEW.WORLD.
ORDER, ANGELS.AND.DEMONS.REVELATED.PL, OR-
WELL.ROLLS.IN.HIS.GRAVE, THE.BIG.PICTURE, ZEIT-
GEIST.ADDENDUM